BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 20.

SZKICE i OBRAZKI

Maryana Gawalewicza

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

Cena 25 kop.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Świat 47.

1890

Szkice i obrazki

Marian Gawalewicz

Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa, 1898

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

Maryan Gawalewicz.

Szkice i Obrazki

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

PAUPER. (Sylwetka z bruku).
GĘŚ. (Ze wspomnień jednorocznego ochotnika).
SŁOŃ. (Sylwetka nie-zoologiczna).
JÖÖL. (Obrazek z życia wyspiarzy fryzyjskich).
SPRAWA HONOROWA (z opowiadań sekundanta).

WARSZAWA.
Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego.
47. Nowy-Świat, 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Января 1898 года.

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Marian Gawalewicz](#).*

Szkice i obrazki Gawalewicza.

Szkice, obrazki, pyły, pyłki, okruchy i t. p. drobiazgi panowały temu lat kilka wszechwładnie w felietonach czasopism warszawskich. Witane mile przez redaktorów, którzy przenosili „rzecz krótką“ nad długą, czyli, co miało to samo oznaczać, nudną, wypchnęły z gazet i tygodników większą powieść.

Ponieważ popyt warunkuje wszędzie i zawsze wytwórczość, przeto sypały się owe szkice i obrazki, jak plewy z wialni, coraz rzadsze, bledsze, niklejsze. Cały legion dyletantów płci obojga rzucił się na rodzaj ulubiony, poszukiwany, nie przedstawiający, jak mniemano, żadnej trudności. „Bo nie potrzeba ani talentu, ani znajomości techniki artystycznej, by odtworzyć jakiś strzęp życia, wypadku, sytuacyi...“ „Wystarcza władać jako tako językiem i zaobserwować jakiś drobny szczegół...“

Redaktorowie czasopism warszawskich i publiczność przekonali się jednak rychło, iż do każdego rodzaju, choćby najmniejszego, trzeba być powołanym, iż nawet „szkice i obrazki“ mają tylko wtedy wartość rzeczywistą, gdy wyjdą z pod piór utalentowanych; kiedy krytyka przesiała różne „pyły i pyłki“ przez swoje sito, ulotniły się gdzieś owe

drobiazgi bez śladu. Na dnie została tylko szczupła garść ziarn pożywnych, które wytrzymały próbę czasu.

Do takich ziarn pożywnych należą między innemi i zawarte w tomie niniejszym szkice i obrazki Maryana Gawalewicza („Pauper,“ „Gęś,“ „Słoń.“) Czyta się je dziś z taką samą przyjemnością, jak wówczas, kiedy ukazały się po raz pierwszy w druku.

Maryan Gawalewicz, felietonista, krytyk teatralny, powieścio — i komedyo-pisarz, nie należy do owych ulubieńców losu, którym szybki rozgłos rzuca odrazu pod stopy kwiaty i oklaski. Zacząwszy działalność publiczną od drobnych wierszyków (po r. 1870 tym), ciągnął następnie przez długi szereg lat ciężki pług dziennikarski, nie sprzyjający nigdy śmielszemu lotowi fantazyi artystycznej. Talenta nie znoszą jarzma, jarzmem zaś jest wszelka praca biurowa. Niejeden z talentów współczesnych, wpleciony w koło prasy, zrzekł się już na progu młodości szlachetniejszych porywów, zmieszał się z szarym tłumem rzemieślników pióra. Gawalewicz jednak, niepospolicie pracowity i widocznie wytrwały, znalazł wśród licznych zajęć redakcyjnych dość czasu i siły do twórczości literackiej.

Pomogła mu do tego, oprócz pracowitości i wytrwałości, niezwykła łatwość słowa, jaką go los obdarzył.

Gawalewicz nie błysnął odrazu, jak: Łętowski, Dąbrowski, Szymański, Jasieńczyk, Ostoja i t. p. których debiut był równocześnie ich tryumfem. Piął się on po drabinie artystycznej powoli w górę, dojrzewał, rozwijał się stopniowo, zbierając po drodze obserwacye życiowe i

doskonaląc formę. Zanim napisał „Filistrów“ (1886 r.), „Drugie pokolenie“ (1891 r.), „Mechesów“ (1893 — 94 r.), rzeźbił nasamprzód drobne cacka, wyrzucał z pod ruchliwego pióra szybko pomyślane i wykonane „Szkice i obrazki,“ których część wyszła w r. 1886-ym w dwóch tomach p. t. „O niej.“

Dłuższe doświadczenie krytyka uczy, iż talenta, rozwijające się wolno, posuwające się od utworów słabszych do lepszych, od dzieł mniejszych do większych, bywają trwalsze, „solidniejsze“ od owych meteorów literackich, co, ukazawszy się niespodziewanie, świecą przez pewien czas blaskiem fosforycznym, by rychło zgasnąć. W pierwszych powieściach Orzeszkowej nie odgadłby nikt późniejszej autorki „Meira Ezofowicza“ i „Nad Niemnem.“ I pierwiosnki talentu Prusa nie zapowiadały twórcy „Faraona.“

Czy łatwe powodzenie oślepia owe „nagłe gwiazdy,“ iż nie kształcą się dalej, czy też mają one bardzo mało do powiedzenia, dość, że pierwsze ich dzieło bywa zwykle ostatniem... najlepszem.

Gawalewicza nie oślepiało, nie psuło powodzenie doraźne. W pocie czoła, w trudzie i bólu wielkiego wysiłku- bo trudem i bólem jest wszelka praca twórcza, o czem nie mogą mieć wyobrażenia ci, co, sami nic nie zrobiwszy, lekceważą cudzą krwawicę — idąc od drobniejszych utworów do większych, zdobywał on sobie wolno stanowisko literackie. Długie lata rzetelnej pracy złożyły się na jego dobrze zasłużony wieniec autorski, którego mu krytyka bezstronna odmówić nie może, nie powinna.

Zwykle mówi się: Gawalewicz nie posiada w talencie swoim siły, w stylu werwy, jędrności, „temperamentu,“ w pomysłach i w charakterystyce śmiałej — stanowczości. Należy-ż jednak podciągać wszystkie organizacye artystyczne pod jeden wspólny mianownik?

Literatura piękna jest jak wzorzysty kobierzec, na którego deseń składają się różne barwy, słabsze i mocniejsze, bledsze i jaskrawsze — jest jak symfonia, spleciona z różnych tonów. Każdy z talentów rzeczywistych wnosi do literatury coś własnego, oryginalnego i tylko wtedy posiadają narody danej epoki literaturę pełną, gdy mogą się poszczycić różnorodnemi talentami. Dociąganie wszystkich zdolności artystycznych do jednej miary, do jakiegoś ulubieńca chwili, nie wytrzymuje krytyki.

Jako nowelista, jako autor szkiców i obrazków, wniósł Gawalewicz do naszej literatury współczesnej nadzwyczaj „miękkie dotknięcie,“ owe francuskie fine touche, równie cenne, jak siła. Umie on za pomocą środków prostych działać na serce, rozrzewnić, wzbudzić w czytelniku sympatyę dla swojego tworu. Kapralowi Cisowi („Gęś“) przebaczamy jego przegorliwość kapralską za ostatnią scenę z matką; — na Teodora Dudę („Pauper“) nie gniewamy się za to, że ukradł swojemu dobrodziejowi fajkę; z niedolą brudnego włóczęgi („Słoń“) współczujemy.

Styl świeży i „ładny“ tworzy doskonałą oprawę do powyższych trzech szkiców i obrazków Gawalewicza.

„Jööl,“ obrazek z życia wyspiarzy fryzyjskich, i „Sprawa honorowa“ (z opowiadania sekundanta) ukazują się po raz pierwszy w formie książki.

Teodor Jeske-Choiński.

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Teodor Jeske-Choiński](#).*

P A U P E R.

(SYLWETKA Z BRUKU).

Cóż z tego, że wam powiem, jak się nazywa!?... niewiele się z tego dowiecie.

Nazywał się Teodor Duda.

Nazwisko wcale nieponętne, nawet kompromitujące dla człowieka, któryby był powołany do rozwiązywania jakichś wyższych zadań w życiu. Duda, fujara — to prawie jedno i to samo, a przyznacie, że już tak z porządku rzeczy nosić od urodzenia firmę, którą świat przez złośliwość mógłby wziąć za godło całej indywidualności, to bardzo nieprzyjemna historya.

Każdy wielki bohater zostawił po sobie imię, co musiało odznaczyć się jakiemś niepospolitem brzmieniem, Maryusz, Cezar, Napoleon — ale Duda, nieszczęśliwa kombinacya liter, której nic nieśmiertelności nie przekazuje.

A przecież w organie ludzkości Teodor nie był najpospolitszą dudka; miał lat czternaście, oczy piwne, głowę kędzierzawą, humor jednakowy i niczem niezamącony, a spryt i dowcip tradycyonalny, bo Teodor był

ostatnim Mohikanem krakowskiego bruku, ostatnim zapewne typowym pauprem w podwawelskiej stolicy. Odwiecznem prawem natury urodził się, a więc miał matkę, czego z równą pewnością o ojcu powiedziećby nie umiał, bo po pierwsze, nie widział go na własne oczy, a powtóre w księdze podrzutków rubryka, mogąca mu jedynie rozjaśnić tę zawiłą kwestyą, mieściła wielki znak zapytania, na który Teodor jedynie był żywą, wcieloną odpowiedzią.

Zresztą ciekawość to zbyteczna.

Nikt wróbla nie pyta: który samiec był mu rodzicem; Teodor był wróblem krakowskiego rynku.

Z konieczności stał się lubownikiem pięknej przyrody, dnie i noce spędzając pod otwartem niebem, gdzie się zdarzyło. pod Sukiennicami, na plantach, nad Wisłą. Urodził się na bruku, bruk go też żywił najczęściej. Z wiosną, gdy fijołki zakwitły, chłopak sprzedawał wonne bukieciki panom i paniom, uśmiechał się do wszystkich, uchylając starego kapelusza, który najmniej dziesięciu głowom wysługiwał się przedtem, zanim na Teodorka kędzierzawej czuprynie odpoczął. Ztamtąd najpewniej dostawał się już na śmietnik, ustępując miejsca czapce bez daszka, bo co dni kilka powierzchowność chłopca odmieniała się, w, miarę jak stare graty, stanowiące jego „paradne ubranie“, spadały mu z nóg i z ramion.

Bóg raczył wiedzieć, zkąd Duda zaopatrywał się w garderobę.

Pod względem rozmaitości swego rodzaju przewyższał niejednego modnisia, zmieniającego z każdym nowym żurnalem ubranie.

Dawali mu „znajomi“, jak nazywał wszystkich swoich protektorów i dobrodziejów, ten starą kamizelkę, ów surdut wypłowiały, inny część bielizny albo buty na wyrost. Zdarzała się najczęściej w tem wszystkiem dziwaczna mieszanina kolorów, kroju, miary — poły surduta sięgały niekiedy do samej ziemi, rękawy z wytartemi łokciami marszczyły się według średniowiecznej mody, często z pod kamizelki tylko papierowy kołnierzyk wystawał, bo koszuli zabrakło.

Duda fantazyi nie tracił, los mu sprzyjał i ciągle nowemi darami wspomagał; czasem się na śmieciu znalazł stary kalosz, a gdzieindziej but z niezupełnie zdartą podeszwą — i złożyła się para obuwia, niedobrana, jak niejedno małżeństwo, ale od biedy, aby nie chodzić boso i to było dobre.

Zresztą Teodorek miał pogardę dla przesądów świata i dla zasady jego: „jak cię widzą, tak cię piszą.“

Nie miał też wcale pretensyi do losu, że mu kazał żywić się nieraz całemi dniami rzepą albo czarnym chlebem, który z litości, niby to na kredyt, dawała mu straganiarka ze Szczepańskiego placu.

Byle tylko pogoda, ho, ho, głodu się nie obawiał. Po całodziennej włóczędze, gdy noc zapadła — Teodorek wybierał sobie najwygodniejszą ławkę na plantacyach miejskich i wyciągał się na niej jak długi, podłożywszy czarkę lub liści pod głowę i za sypiał tak smacznie, że ptaki uciekały zapewne z poblizkich drzew, budzone jego chrapaniem. Nigdy go w takich razach dobry humor nie opuszczał; czasami tylko ławka wydawała mu się za

twardą, wtedy przeciągnąwszy się, wstawał i szedł próbować legowiska na drugiej, mrucząc do siebie:

— Trzeba się wyprowadzić z tego mieszkania, jutroby człek kości nie pozbierał.

Z natury rozmowny aż do gadulstwa, umiał się też ochodzić bez towarzystwa, wystarczał sam sobie — i z własnych myśli śmiał się głośno, jak „zbzikowany“.

Razu pewnego zeszedłem go na taktem sam na sam z sobą; było to wieczorem, niebo iskrzyło się gwiazdami, Teodorek, rozciągnięty na kamieniu przed domem, z twarzą ku gwiazdom obróconą, leżał i zabawiał się wcale nieestetyczną rozrywką. Od czasu do czasu z wielką siłą pluł w górę i za każdem splunięciem chichocząc, powtarzał:

— A bodaj cię, nie trafiłem.

— Teodorku — zagadnąłem go nagle- co ty robisz?

Spojrzał na mnie z miną Dyogenesa w beczce, i nie zmieniając pozycyi, odrzekł:

— Pluję w gwiazdy.

—- A to dlaczego?

— Bo mi się już znudziło pluć zawsze tylko na ziemię.

Należałem i ja także go „dobrych znajomych“ Dudy. Pamiętam, kiedyś, przechodząc ulicą zamyślony, usłyszałem nagle za sobą głos:

— Panie, panie, kup pan bukiecik fijołków, będą panu cały tydzień pachniały w pokoju.

A był to czas, w którym fijołki dla biednego studenta medycyny tworzyły prawdziwy zbytek, w którym przy ostatniej dziesiątce w kieszeni, wahało się nieraz długo, czy kupić za nią bułek i mleka na kolacyę, czy świecę, aby było

przy czem w nocy pracować nad książką.

Za całą odpowiedź uśmiechnąłem się smutnie; chłopak jakby zrozumiał, co mu tym uśmiechem powiedzieć chciałem, bo nie tracąc fantazyi, mówił dalej:

— Pan pewnie lubi fijołki? ja to po panu widzę, że pan musi lubić... niech pan weźmie bukiecik... dalibóg świeże.

— Nie mogę — zdecydowałem się odpowiedzieć natrętowi.

— Co panu szkodzi?.. niech pan chociaż powącha, jak to pachnie... — kusił bezustannie malec, upatrzywszy sobie coś do mnie ze swoim bukiecikiem.

Wymawiałem. się i opędzałem od chłopca, jak mogłem, nic nie pomogło; przyczepił się smołą i przyszedł aż pod drzwi mego mieszkania.

— Pan tutaj mieszka? — zapytał.

— A tutaj.

— No, jakże będzie z temi fijołkami?.. ja panu szczerze radzę, niech pan dziesiątki nie żałuje; dziesiątka jest i niema jej, a przyjemność zostanie, ot filozofia! Ja takżebym bukiecików nie sprzedawał, gdyby mi mój pan nie kazał.

— Co za pan?

— Oh, panie, wielki pan — odpowiedział, przymrużając jedno oko — nazywa — się, panie, żołądek.
Jeszcze dzisiaj nic do ust nie włożyłem od samego ranka, a przecież fijołkami żyć nie będę; zjadłem ci ja raz bukiecik na próbę, ale ani to dobre, ani pożywne, ot mgliło i mgliło potem, tem sobie rady dać nie mógł.

Zrozumiałem teraz natręctwo chłopca, żal mi go było, wiedziałem i ja co to głód, bo i w moim kalendarzu

zdarzały się dnie takiego postu, a przyszły doktór medycyny, nieraz pod koniec miesiąca, zasypiał po skromnej kolacyjce, która stanowiła zarazem obiad i śniadanie, a składała się z herbaty i bocheneczka chleba.

Bieda biedę rozumie, zrozumieliśmy się te z Teodorkiem od pierwszej naszej rozmowy w mojej ciasnej izdebce, „na widermachu“, dokąd natrętny malec wcisnął się za mną, coraz bardziej się rozgadując.

— To pan jeszcze student? — zaczął mnie indagować, rozglądając się po pokoju i poznawszy po książkach, kajetach i całem skromnem urządzeniu, z kim ma właściwie do czynienia; — ja znam wielu panów akademików, posługiwałem nawet kilkom, ale mnie pozarywali, to już się z nimi nie wdaję więcej. Eh... to pan musi być ten... jak się nazywa?co to na doktora się uczy... medyk?.. — zapytał mnie znów, pokazując na czaszkę, stojącą na stole — że się też pan nie boi spać z tem w jednym pokoju!... Strach! jak to zęby wyszczerza, jak śmierć.

Swada Teodorka rosła coraz bardziej, każda chwila ośmielała go coraz więcej, a kiedy jeszcze sprzątnął z garnuszka resztkę mleka i porcyę chleba, ofiarował, mi się sam nastawiać samowar i oświadczył wręcz, te mu się u mnie podoba i że ze mną mógłby „gadać, choćby trzy dni z rzędu.”

Wpadła mu nawet pusta myśl do głowy przystroić trupią czaszkę fijołkami i włożywszy jej w każdą jamę oczną po jednym bukieciku a wsadziwszy pomiędzy szczęki resztę kwiatów, śmiał się ze swego oryginalnego pomysłu do rozpuku i w naiwnej radości, tłukł się pięściami po

kolanach.

Zaczęło się zmierzchać, zegary wydzwoniły siódmą na wieżach kościelnych, chłopak zerwał się, jak oparzony.

— O la Boga! — zawołał — siódma, a ja się spieszę do teatru.

— Ty, do teatru? — spytałem trochę zdziwiony.

— A cóż to? — odrzekł z dumą — to pan nie wie, że ja jestem na każdem przedstawieniu, na galeryi pod bantami.

— I cóż ty tam robisz?

— Klaszczę, jak trzeba, aktorom i za to mam bilet wolny. Czasami to nas biorą za kulisy, no i wtedy gram, panie, rozmaite komedye na scenie. W przeszłym tygodniu byłem przebrany za krakowiaka; oj, powiadam panu... ale nie mam teraz czasu dokończyć, jutro znowu przyjdę o tej porze, dobrze?.. fijołki niech zostaną i takby mi zwiędły do jutra; dobranoc panu.

Taka była pierwsza wizyta i pierwsze poznanie moje z Teodorem Dudą.

Odtąd nie minął dzień, aby chłopak nie zajrzał do mnie choć na chwilkę. Dziwnie przywiązał się, znęcił, czy do gawędki ze mną, czy do tej herbaty, którą dostawał co wieczór — czy z przyzwyczajenia. Przychodził, opowiadał, myszkował, przynosił rozmaite nowinki miejskie, dowcipy, zwierzał się ze swych przygód, radził co do przyszłości.

— Nie wiem, co zrobić z sobą — mówił, kiedyśmy się już lepiej poznali — już mi się takie życie przykrzeć zaczyna. Kwiatów kupować nie chcą, zajęcia człowiek niema, od znajomych też nic nie dostaję teraz, człowiek taki po tym bruku chodzi, jak pies zgubiony. Wie pan co?..

zostanę artystą!

— Jakim?

— A ot, znam tu jednego rzeźbiarza, któremu glinę rozcierałem w przeszłym roku, w pracowni na Kleparzu; pójdę do niego na naukę.

— Alboż ty wiesz, co to jest artysta?

— Czemużby nie? — cóż to, czy ja już jednego artystę znałem! — odrzekł z podrażnioną ambicyą, — Musi pan wiedzieć, że mnie już nawet malowano na obrazię, pozowałem kilku panom w szkole.

— Ale aby zostać artystą, trzeba coś umieć, trzeba się uczyć.

— Panie, nic wierz pan temu — przerwał mi, robiąc lekceważący ruch ręką — czy pan myśli, że oni się dużo uczyli, przecież ja chodzę do nich, to wiem, co oni umią... Zresztą, ja już mam w sobie coś takiego od urodzenia, że co zobaczę, to potrafię zrobić. Ja prawie nigdy czytać się z książki nie uczyłem, tylko ot tak — nie było co robić, to. usiadłem gdzie przed domem i patrzę na szyldy, widzę na ten przykład kawiarnia — to sobie rozbieram po literze K, A, W i tak dalej. Innym razem znowu, bywało zedrę afisz z jakiej kamienicy i szukam wszystkich liter, jakie znalem, no dzisiaj, panie, czytam, jak jaki profesor.

— Ten zawód artystyczny zawrócił mu przez pewien cz głowę na seryo, aż rzeczywiście dostał się do pracowni jakiegoś rzeźbiarza i tam odlewał figurki z gipsu, z któremi wieczorem chodził po restauraryach, ubielony, umączony i opowiadał wszystkim, że został artystą od trzech tygodni. Pamiętam, z jaką dumą przyniósł mi raz odlew statuetki,

wyobrażającej kobietę z dzieckiem na ręku; postawił ją na oknie, pod światło i odstąpiwszy kilka kroków jak prawdziwy mistrz, rzekł:

— Patrz pan, to moja robota!

Praksyteles nie pysznił się więcej swoją Wenerą, jak Duda odlewem gipsowej figurki, którą uważał całkowicie za swoje dzieło.

Ten artystyczny zapał nie trwał, niestety, długo.

Pewnego razu, późno w noc, zapukał ktoś do mego okna z ulicy; zdziwiony tak późną wizytą, wyjrzałem ciekawy, aby zobaczyć gościa. Mróz zasłonił do połowy szyby szron ową tkaniną, bo grudzień miał się już ku końcowi, nie mogłem nikogo dojrzeć z wewnątrz, ale wkrótce doleciał mnie znany głos Teodorka, który wspiął się na gzems u okna i przytuliwszy twarz do szyby, chuchał zawzięcie, aby przez odtajane kółko lepiej módz zajrzeć do pokoju.

— A ty tu co robisz? — zapytałem, wprowadziwszy go zziębniętego z ulicy, w jakimś płócienym kaftaniku, bez butów i kapelusza.

— A cóż, panie? porzuciłem mego rzeźbiarza...

— Teraz o północy?

— A jakże — odpowiedział z wyrazem jakiegoś wewnętrznego wzburzenia i zaczął chuchać w posiniałe od zimna palce.

— Cóż ci się takiego stało? gdzież kożuszek, któryś dostał od swego pana, gdzie buty? — obdarli cię może?..

Chłopak milczał, ciężko mu było przyjść do słowa, stał na środku pokoju, podnosząc to jedną, to drugą nogę, jak bocian na przymrozku, i rozgrzewał ją sobie, pocierając o

łydkę.

Zacząłem go podejrzewać, że zrobił pewnie coś niedobrego i za to stracił miejsce i przyszłość... artysty, ale zobaczywszy, jak w oczach Teodorka, wpatrzonych w płomień świecy, zakręciły się łzy i spadały powoli po ubielonej gipsem twarzy, domyśliłem się czegoś poważniejszego.

— Cóż ci jest? — spytałem łagodniej, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Ot, krótko mówiąc, pobiłem się w pracowni z chłopcami i wypędzili mnie tak, jak stoję, na mróz,

— A dlaczego się biłeś?

— Jakżeż, panie, nie miałem mu rzucić Mickiewiczem do łba, kiedy mnie zaczął wymyślać od podrzutków; — jemu zasię od tego, ja nie miałem żadnego ojca, ale on miał ich przynajmniej dziesięciu — cherlak, zgnilec przemierzły!

Zaledwie półsłówkami mogłem wyciągnąć z niego opowiadanie całego zajścia. Z wieczora, Teodorek wrócił z codziennej swej peregrynacyi z figurkami po mieście, zziębnięty, głodny i zły, bo interes źle poszedł — chłopaki, pracujący z nim razem w „zawodzie artystycznym,“ zaczęli się wyśmiewać z niego, nazywając go niedołęgą, gapiem i darmozjadem. Szykany nie skończyły się na słowach — aby mu dokuczyć, wyrzucono barłóg, na którym sypiał w zimnej pracowni — do sieni.

— Niechby tam, panie — mówił, siląc się powstrzymać łzy — spało się gorzej nieraz, ale nie jak pies pod cudzym progiem. Powiedziałem im to, a Walek, najstarszy dryblas i

złodziej, panie, bo widziałem sam, jak kradł gips z beczki — powiada do mnie: a ty taki, ty owaki... ja nic jeszcze, ale on mi powiada nareszcie: ty podrzutku! — jakem mu dał podrzutka, to się aż w kłębek zwinął. Śmignąłem mu do łba, co było pod ręką, nowy biust dopiero co odlany.

— I cóż potem?

— A no cóż? kiedy mi szarpał honor, to niech się teraz liże.

— A ciebie poturbowali przy tem?

— Rozumie się, że mi się gratysówką nie upiekło, ale to wszystko nie tak bolało, jak ten podrzutek powiadam panu, że byłbym hycla zabił na miejscu!...

Nie wiedziałem, co mu w pierwszej chwili odpowiedzieć na to: czy uszanować podrażnioną ambicyę, czy skarcić gwałtowny charakter.

— Cóż teraz poczniesz? — zapytałem po małej pauzie, w której Teodorek, zapatrzony ciągle w świecę, pociągał zapamiętale nosem i łzy rękawem z oczu wycierał.

— Eh, to fraszka, panie; żeby tylko było gdzie przenocować? to już ja sobie radę dam — odparł z tą niewzruszoną wiarą w siebie, jaką muszą mieć chyba tylko ptaki niebieskie, albo lilie polne, co ani sieją ani orzą, a Pan je trzyma w swojej pieczy.

Został tedy u mnie na noc, zwinął się w kółko pod piecem i usnął, wzdychając ciężko.

Na drugi dzień, gdy otworzyłem oczy, Teodorek już stał ze szczotkami w ręku i przyglądał „się moim butom uważnie.

— Cóż? — zapytałem go krótko; spojrzał, uśmiechnął

się jakoś potulnie i odrzekłszy: „a nic!“ zaczął zawzięcie szczotkować obuwie, jakby sobie wyobrażał, że dryblasa Walka trzyma w swych rękach.

I tak przyszedłem, dzięki uprzejmości losu, do kamerdynera, niechcący, bo już Teodorek sam się w tym charakterze zainstalował u mnie.

— Ja nie wiem — mówił do mnie nieraz, kiedyśmy się już, zgasiwszy świecę wieczorem, ułożyli do snu, ja na mojem studenckiem łóżku, on na kufrze pod piecem — ja nie wiem, dlaczego ja pana tak lubię, jak rodzonego brata, jak ojca — kiedy pan zostanie doktorem, to ja u pana będę służył za lokaja darmo, słowo! — byle tylko było co jeść i gdzie spać.

— A nie wolałbyś ty pójść do jakiego rzemiosła? — przekładałem mu poważnie.

— Ba, próbowałem i tego, ale mnie żaden majster darmo przyjąć nie chce, a potem niema się komu za mną wstawić, a tak, to się boją przyjąć do warsztatu, żeby czasem nie jaki złodziej. Ja byłem u kiełbaśnika trzy dni, ale mi szelma nic jeść nie dawał — musiałem się tylko na mięso patrzeć i wydmuchywać kiszki o głodzie, więc bałem się, żeby mnie kiedy nie skusiło ukraść, to uciekłem sam od biedy.

Zadziwiło mnie to wyznanie chłopaka, którego moralności chyba Anioł stróż uczył na bruku, bo ludzie z pewnością nie pomyśleli o tem.

— To ty nie ukradłbyś nigdy? — pytałem go.

— Ej panie, co też pana gadał. albo to ja złodziej jestem, czy co? ja, panie, mam przecież Boga w sercu i sumienie. Czyż to już uczciwie wyżyć nie można!...

Zdanie to Teodorka nie było tylko obłudnym frazesem; przekonałem się niejednokrotnie w ciągu naszego kilkomiesięcznego pożycia pod jednym dachem, że mówił prawdę.

Przywiązanie chłopca miało rzeczywiście źródło w dobrem sercu, które nietylko względem mnie objawiało się niekiedy w rozrzewniający sposób.

Przypominam sobie dobrze, kiedy w drugie święto Wielkiejnocy wyrwał się z domu na Rękawkę, obchodzoną na górze św. Bronisławy za miastem, gdzie co roku ludność Krakowa rozdziela się naocznie w dwie warstwy społeczne — w górną i dolną, chociaż przez dwanaście miesięcy rozdział ten istnieje *de facto*, ale nie tak wyraźnie dla oka. Ci z góry rzucają na dół gomółki chleba, bułek, jabłka i inne owoce, a hołota w dole zbiera je i chwyta i bawi swych ofiarodawców uciesznym widokiem zapasów o każdy większy bocheneczek zrzucony. Nazwano to poniewieraniem chleba i człowieka, ale że zwyczaj ludowy, więc poniewierają i jednym, i drugim bezkarnie. Całe pokolenie pauprów w tym dniu stawia się u podnóża góry i czeka manny, sypanej hojną ręką.

Naturalnie, Teodorek był pierwszym do tego rodzaju wstępów publicznych i posiadał już niemałą wprawę w chwytaniu największej ilości bułek i owoców, które później za byle co, razem z innymi zapaśnikami, odsprzedawał napowrót straganiarkom miejskim.

Kiedy późno wieczorem wrócił do domu z Rękawki, zgrzany, spotniały, okurzony, oczy mu świeciły, jak u kota, rumieńce płonęły, jak listki piwonii, na obu policzkach. Z

zadowoleniem mrugał do mnie konfidencyonalnie i pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni, aby się pochwalić zyskiem.

— Są grosze, są! — powtarzał i ukradkiem przeliczał z kieszeni do kieszeni, garść koprowiny. — Ale, ale... ja tu dla pana także cosik przyniosłem — dodał, przypomniawszy sobie nagle. — Ot, patrz pan...i wyjął z węzełka kilka potłuczonych jabłek i powalanych błotem bułek, które najmniejszego apetytu nawet w głodnym wzbudzić nie mogły.

— Trochę się to upaćkało, spadając — mówił — ale się obetrze, niech pan spróbuje, ja wybrałem umyślnie co najlepsze dla pana i zaczął połą surduta wycierać błotniste plamy z jabłek, aby mnie uraczyć swojemi zdobyczami... Dobra — zachwalał, obgryzając połowę bułki, bardzo dobra,. dalibóg dobra.To wszystko świeże pieczywo, tylko trochę na słońcu szczerstwiało... No, niech pan chociaż skosztuje!

I musiałem się przełamać rękawkowym chlebem z chłopcem, aby go nie zrazić za zbyt może naiwny objaw dobrego serca. Piasek chrupał mi w zębach, przy każdym kęsie i przełknąć nie mogłem ani kawałka zachwalanej bułki; za to Teodorek, zapomniawszy, że mnie wyłącznie ofiarował swą zdobycz, w zapale opowiadania zmiatał jedno jabłko po drugiem i połykał bocheneczki chleba, jak pigułki. Spostrzegł się wreszcie, sięgając ręką po ostatnią bułkę, i rzekł:

— Ba, to ja sam wszystko zjadłem? no... no! tę przynajmniej zostawię dla pana na jutro do śniadania.

Bezinteresowność jego budziła we mnie szacunek, sam nie byłby się nigdy o nic pierwszy upomniał.

Jedyną pokusą w całym moim majątku była dla Teodorka stara, piankowa fajka, z dużym pękniętym bursztynem, na wiśniowym cybuchu. Sam nie wiem, jakim sposobem do niej przyszedłem; była i była, miejsca nie zajmowała, a niejedną miłą chwilę, o szarej godzince, spędziłem przy niej, zamyślony — o tem, co będzie, i o tem, co było.

Teodorkowi ta fajka wydawała się czemś nadzwyczajnem, zachodził z rozmaitych stron, aby ją dostać, obiecywał mi kupić taką samą, skoro tylko wytrzaśnie tyle pieniędzy.

— Na cóż tobie, kiedy ty jeszcze nie palisz fajki? — zapytałem.

— To i cóż z tego? będę ją nosił przy sobie i pokazywał.

Śmiałem się z tych zachcianek i próżności Teodorka, udając zawzięcie upartego. Minął jakiś czas spokojnie, o fajce nie było mowy; chłopak zaczął się opuszczać, rzadziej zaglądał do domu, częściej nie nocował zupełnie. Byłem przekonany, że mu się życie takie już sprzykrzyło i że z tej gwałtownej dla mnie sympatyi wkrótce i śladu nie zostanie.

— Lekkomyślny pauper!... — powiadałem sobie — co mi tam!,.. jak się przyczepił. tak się też i odczepi. Będę miał naukę, aby się zbytnio nie kierować uczuciem.

Przypuszczenia moje sprawdziły się wkrótce. Pewnego razu miałem ochotę pyknąć sobie fajeczkę przy czytaniu ostatnich wiadomości politycznych o właśnie co wybuchłej wojnie na wschodzie — szukam fajki, niema. Przewróciłem

wszystko do góry nogami w pokoju — nic, nigdzie — rozstąp się ziemio, fajka zginęła, a z nią i Teodorek. Minął jeden dzień, drugi, trzeci — tydzień, miesiąc, ani znaku.

Chłopak zginął, jak fajka — fajka, jak kamfora.

Nie ulegało wątpliwości, że zniknęli oboje razem jednocześnie. Z początku gniewała mnie ta sprawa, potem niepokoiła; Dudy ani dopaść nigdzie, ani dowiedzieć się o nim nie mogłem.

Wpadł, jak kamień w wodę.

I wierz tu ludziom i przeczuciom! — kłamią, kłamią najczęściej. Po kilku miesiącach, zajęty egzaminami, doktoratem — zapomniałem o fajce i Teodorku. Losy łaskawsze nastały — ze studenta medycyny zostałem wreszcie panem na swoim chlebie; urojona, wyśniona, wymarzona przyszłość, była tuż tuż, tuż przedemną. Potrzebowałem tylko kilku pacyentów dziennie i małego fundusiku na spłacenie akademickich długów i urządzenie mieszkania.

— Jedź pan na pole walki — radził mi jeden ze znajomych. — w pańskim wieku to praktyka korzystna, płacą dobrze, świata się kawał zobaczy, dla chirurga sposobność doskonała.

— Ha!... może też i tak zrobię — myślałem, rojąc dalsze kombinacye, na podstawie tego projektu, ale rok dobiegał jakoś, wojna miała się ku końcowi, a wypadki nie pozwoliły mi zdecydować się ostatecznie.

Po przechadzce, w śliczny dzień jesienny, wracałem wieczorem do domu. W przedpokoju służący, bo zdobyłem się już na przedpokój i służącego w przeciągu roku,

powiedział mi, że kilka razy jakiś biedny człowiek dopytywał się o mnie. Myślałem, że który z moich najliczniejszych ubogich pacyentów potrzebował porady.

Po niejakim czasie ktoś lekko drzwi uchylił

— Kto tam? — zapytałem, nie odwracając oczu od książki.

— To ja — odpowiedział mi głos nieznany.

Spojrzałem, przedemną stał młody chłopiec w biednem ubraniu, wychudły, opalony, z zapadniętemi oczyma; jakieś resztki munduru wisiały na nim, jak na szkielecie.

— Pan mnie nie poznaje? — zapytał, siląc się na uśmiech — ja jestem Teodorek, Teodorek Duda.

— Teodorekl!...zawołalem, nie dowierzając własnym oczom-a ty się zkąd tu wziąłeś?

— Ze szpitala — odpowiedział smutnym głosem, w którym nie mogłem rozpoznać dawnego wesołego tonu chłopca.

— Z jakiego?

— Z wojskowego, proszę pana; dostałem kulą w bok i bagnetem pod żebro, ledwo mi skórę zeszyli, ale kulka została, ot tu — mówił, wskazując palcem powyżej prawego biodra.

— A gdzieżeś ty kulką dostał?

— Na wojnie, proszę pana, to pan nie wie, gdzie ja byłem?.. poszedłem się, panie, bić, jak żołnierz, Eh, to ciekawa historya!

Oczy mu się zaświeciły przy tych wyrazach, głowa podniosła w górę, piersi naprzód wysunęły, ale świeżo zabliźnione rany musiały go zaboleć, bo się chwycił zaraz

ręką za bok i stracił chwilową dziarskość w postawie.

— Jeszcze nie całkiem dobrze ze mną — dodał ciszej i kaszlnął.

W krótkich słowach opowiedział mi, jak się dostał na wschód, gdzie był, z kim się bił, kiedy otrzymał ranę.

— I pocóż tyś się powlókł aż tam? — zapytałem go w końcu.

— A cóż w tem złego? — odrzekł — dla młodego to wszystko widzieć dobrze, wiem teraz, jak wojna wygląda.

— Czemużeś się przedemną nie zwierzył, wyjeżdżając?

— Pan byłby mi jeszcze odradził, a tak, szast prast, uwinąłem się i jestem z powrotem.

Dawny humor przebłyskiwać zaczął znów w jego słowach.

— Ale, ale — przerwałem mu — toś ty się z fajką wybrał na wojnę?

Chłopak wstydliwie spuścił oczy, sięgnął ręką w zanadrze i wahał się chwilkę z jakimś zamiarem, wreszcie wyjął coś ztamtąd i podając mi, rzekł nieśmiało:

— Ja tu panu coś przywiozłem od Turków — nie taka to wprawdzie, jak pańska, ale zawsze fajka za fajkę, a prawdziwa sułtańska!

W rzeczy samej, w rękach chłopca zobaczyłem małą glinianą fajeczkę, na krótkim cybuszku, nową jeszcze i całkiem nieużywaną.

— Niech pan przyjmie za swoją — mówił dalej — ja byłbym i tamtą odniósł, ale mi ją ukradli w szpitalu. Przepraszam pana bardzo za szkodę — dodał i pochylił się, aby mnie w ramię pocałować.

Trzymałem w ręku gościniec Teodorka i patrząc na niego, widziałem dwa cybuszki, dwie fajki, dwóch wynędzniałych chłopców przed sobą — a wszystko to przez jedną łzę w oku.

Oceniałem go źle, bardzo źle — ten Teodor Duda miał z gruntu poczciwą naturę.

Nocował u mnie tego dnia, a właściwie przegawędziliśmy całą noc; nasłuchałem się też jego opowiadań do świtu prawie, nawet Antoni, wpół rozebrany, siedział w otwartych drzwiach i spać mu się nie chciało, tylko słuchał razem ze mną.

— Cóż teraz zrobisz? — zapytałem go, gdy się już znużył opowiadaniem.

— Ha cóż, pójdę jeszcze do szpitala, aby wydobrzeć, bo czuję, że mi tam jeszcze ta pigułka zawadza pod żebrem i dychać dobrze nie mogę.

— A do którego szpitala chciałbyś pójść?

— Ta... najchętniej do tego, gdzie pan ordynuje, jakośby mi prędzej zdrowia przybyło.

— No, no, zobaczymy — odrzekłem mu, chociaż ten częsty kaszel, co mu przerywał mowę, niedobrze wróży, ale da Bóg — może się mylę — pomimo niedawno złożonego doktoratu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie .*

G Ę Ś.

(ZE WSPOMNIEŃ JEDNOROCZNEGO OCHOTNIKA.)

Bo nie wiem, czy państwu wiadomo, że kiedyś nosiłem karabin i byłem żołnierzem?..

A jakże.

Mars, pokręcając sumiastego wąsa (chyba mu wyrosły od czasów olimpijskich), spoglądać musiał na mnie z rodzajem politowania i wzruszał ramionami, szepcząc ochrypłym głosem austryackiego kapitana:

— *Donnenoetter noch a Mal!* i to się nazywa wojakiem!... *Unerhört!!!.. Collosal dumm*!

Kiedy sobie przypomnę te chwile, to mi samemu wydaje się moja ówczesna fizjonomia tak mizerną, drobną, śmieszną i politowania godną, że parsknąłbym dziś jeszcze śmiechem, gdyby nie wspomnienie surowego oblicza pana kaprala Cisa, który miał wąsy, jak szydła, a spojrzenie ostre, jak bagnety, a głos przejmujący, jak uderzenie trzciny o blachę.

Es war collosal dumm, nie przeczę, ale mimo to zrobiono ze mnie żołnierza, chociaż przy rewizyi przed panem

Regimentsartztem starałem się okazać takim cherlakiem i zdechlakiem, że mi nad moją fizyczną biedotą samemu łzy w oczach stawały.

Cóż chcecie, wojsko — to nie bardzo ponętna rzecz dla człowieka, chowanego jak w pudełku, strzeżonego od wszystkich dolegliwości życia, pieszczonego wszystkiemi względami, należącemi... jedynakom.

A no, nie miałem ochoty dźwigać karabinu i nosić munduru z czerwonemi wprawdzie wyłogami i świecącemi guzikami, ale zawsze munduru, który moje cywilne ciałko w twardą, wojskową przyoblekał skorupę.

Nie pomogło udawanie, nie pomogła najkwaśniejsza mina, jaką kiedykolwiek w życiu mogłem przybrać, nie pomogły solenne zapewnienia, że miewam kurcze w łydkach i zatykanie w piersiach; pan *Regimentsartzt* słuchał z powagą, kiwał głową pobłażliwie, zmierzył klatkę piersiową, wysokość od czuba do pięty, zajrzał w oczy, obejrzał przednie zęby i milczący jak armata przed wystrzałem, zasiadł do pisania certyfikatu, a potem jednem, jedynem słowem, huknął mi nad uszami, niby dwudziestofuntowe działo Kruppa: *Feldzugskriegsdiensttauglich*! i klepiąc protekcyonalnie po nagich ramionach, dodał z uśmiechem:

— *No, alles gut*, będzie sem wojak; jak se patrzy!

I zostałem wojakiem „jak se patrzy“ w niebieskich pantalonach, ciemno-granatowej bluzie i czapce niebieskiej, zwanej poprostu „*Holtzmütze*;“ u boku, zamiast szabli ojców, miałem na białym rzemieniu zawieszony bagnet i zacząłem się uczyć przebierać nogami według taktu: „*eins*,

zwei — słoma, siano“, wykręcać automatycznie głowę na komendę *links — schaut*, *rechts-schaut*! i salutować z nabożną miną wszystkim stworzeniom Bożym, noszącym na kołnierzu więcej niż jedną gwiazdkę.

Przybył mi wówczas do nazwiska poczciwych przodków moich pierwszy zaszczytny tytuł w życiu: *K. k. einjährig Freiwilliger der k. k. oesterreich-ungarischen Armee*; krócej nazywano mnie „roczniakiem,“ co było wprawdzie łatwiejszem do wymówienia, ale mniej zaszczytnem, ze względu na wspólność tego tytułu z rocznemi cielętami i źrebcami, które nie były *k.k.*, ale nie potrzebowały się uczyć marszu musztry na dziedzińcu „kasarni“ mojego pułku.

Mój Boże, myślałem sobie nieraz, stojąc w szeregu wyciągnięty, jak struna, wpatrzony w pana kapitana, jak w źródło wszelkiej mądrości cywilnej i wojskowej, jak w tęczę władzy, która jednym wyrazem: *nieder*! może powalić czterdziestu dwóch ludzi plackiem na ziemię, a jednem: *auf*! podnieść ich znów z kurzu i błota; — mój Boże, myślałem, takie roczne źrebię to przecież ma lepiej ode mnie, jednorocznego ochotnika, bo mu nie każą godzinami całemi z wywalonym językiem pędzić po błoniach i wertepach, dźwigać kilkunastofuntowego karabina na lewem ramieniu, tornistra na plecach i szynelu, jak boa zwiniętego w wałek przez plecy, bo nie potrzebuje słuchać komendy i bać się pana kaprala Cisa, jak ognia piekielnego.

Ba, ale źrebię, choćby nie wiem jakiej rasy, nie może zostać oficerem austryackim, a mnie ta piękna nadzieja uśmiechała się w przyszłości, *nota bene* po złożeniu egzaminu z jakich dwudziestu przedmiotów o tak

specyalnych tytułach, że dziś ich już dobrze powtórzyćbym nie umiał...

— Ho, ho! — mówiłem sobie — skoro tylko zostanę oficerem, zaraz sobie każę zrobić galowy mundur i najprzód pojadę z wizytami do wszystkich moich znajomych, a potem na złość panu kapralowi, będą mu pod samym nosem przechodził dziesięć razy tam i napowrót, aby salutował póty, póki... póki mu ręka nie odpadnie.

A wszystko to tak przez zemstę za te sekatury, jakiemi nam biedakom bez wyjątku w ciągu całorocznej martyrologii wojskowej dokuczał.

Jestem przekonany, że gdyby mógł był cały oddział Freiwilligów utopić gdzie w jakiem bagnie, był by to uczynił z pewnością, a jeśli się wstrzymał od takiego okrucieństwa, to tylko dlatego, że potem nie byłby się miał nad kim znęcać.

Zresztą, cóż w tem dziwnego?... nie lubiano nas z początku w całym pułku, w którym przez długie lata dosługiwać się musieli starzy żołnierze, pod wąsem i stopnia, i stanowiska, a tu pierwszy lepszy cywilista, z przeproszeniem młokos jeszcze, który prochu nigdy nie wąchał, a od niucha tabaki kichał kilka godzin — miał na jakichś wyjątkowych prawach wciskać się w szeregi, roczek sobie przebaraszkować i potem szabelką już przed frontem machał i jak kogucik piał komendy.

To mogło irytować żołnierzy *vom Kom und Schrott*, co to od „gemeinego“ szli w górę po stromych stopniach „felebra,“ i tu najczęściej u szczytu marzeń stawali.

Pan sierżant dla przeciętnego śmiertelnika, zabranego w

szeregi Marsa i Bellony, był ideałem władcy nizszego rzędu.

Mój *Putzer*, kolega wojak tej samej rangi, tylko posiadający sztukę czyszczenia butów, szczotkowania kabatu i wycierania tryplą mosiężnych guzików przy mundurze, za miernem wynagrodzeniem guldena miesięcznie, mój putzer tedy, nazwiskiem Bobak, kiedy sobie w niedzielę podpił w kantynie na moje *conto*, to mnie całował w ramię ukradkiem i mówił:

— Życę panu freiwilligowi, aby awansirowali na felebra.

Biedakowi zdawało się, że mi tem największą swoją wdzięczność okazywał.

Poczciwy Bobak przywiązał się do mnie, jak do rodzonego brata, i pomimo spartańskich prawdziwie pojęć o naturze i obowiązkach żołnierza, z dziwną jakąś pobłażliwością patrzył na mnie mizerotę, kiedy na *Uibungsmarszach* z podbitemi piętami wlokłem się, kulejąc, na szarym końcu i klątem, jak stary dragon — ze łzami dzieciaka zgrymaszonego w oczach.

Bywało, brał nawet mój karabin i dźwigał go na prawem ramieniu, aby ulżyć „panu freiwiligowi;“ ospowata jego i opalona, jak z juchtowej skóry twarz, uśmiechała się wtedy pobłażliwie, a w małych, siwych oczkach zdawało mi się czytać wyrazy:

— To ci chudzina, nieborak, kaj jemu marsirować po takiej grudzie!... Jesce ci to gdzie skrepiruje, zanim do logru dojdziemy!

Pan kapral Cis wprawdzie pochodził z jednej i tej samej wioski podkarpackiej, co mój Bobak, a pono nawet kiedyś

pasał konie z nim razem na jednem pastwisku, ale odkąd wszedł w kownstelacyę gwiazdek na kapralskim kołnierzu — udawał, jakoby towarzysza lat dziecinnych nie znał nigdy w życiu.

Co mu tam jakiś rekrut, gemeiner, pucobut, jakieś zero umundurowane w szeregu, którego on, Cis, był początkową cyfrą!... A i Bobak, sam przejęty do głębi wnętrzności swoich poszanowaniem zwierzchniczej władzy i rangi dawnego kolegi po biczu, nie śmiał nawet sam przed sobą przyznać się w skrytości serca, że ongi dzisiejszego pana kaprala najpoufalej w świecie tykał, a gdy się zdarzyło, to i po karku bez subordynacyi wygrzmocił, kiedy się pod stodołą gzili wieczorami.

Teraz dałby był sobie raczej kułak roztłuc kolbą własnego karabina, aniżeliby miał wziąć dawnym zwyczajem brata Cisa za strzyżoną czuprynę i wytargać mu „chyrę.“

Jeszcze czego!... a toć Gis teraz „cisarski wojak“ i „pan kaprol,” któremu na trzy kroki trzeba salutirować i mówić: „Panie kaprol, melduję pokornie, że ich *sztrozak* już rychtyk wyfutrowany!...“ co miało znaczyć w zwyczajnym języku śmiertelnych, iż siennik pana kaprala należycie słomą wypchany został.

— *Is gut*! — odpowiadał krótko i ostro dwugwiazdkowy bohater, przymrużając oczy i wydymając dumnie usta, pod dwoma zakręconemi szydłami wąsów, które wcale „ozdobą twarzy” jego nazywać się nie mogły.

Bobak zaś odchodził taki dumny przeświadczeniem o spełnionej swej misyi, jak gdyby nie kapralski siennik, ale

całego Lewiatana wypatroszył i nadział samym szafranem!

Dwóch nas w całej kompanii było sforną — wprawdzie nie w sienniku, ale w oku kaprala Cisa; ja najniższy wzrostem w„gliedzie“ i kolega mój z drugiego końca szeregu, poczciwy Stefek i t. d. — o nazwisko mniejsza, zwłaszcza, że żadnym blaskiem rycerskich czynów i odwagi nie zajaśniało w annalach jednorocznych ochotników.

Stefek był największym ignorantem, jakiego kiedykolwiek odziewał mundur wojskowy. Tak mu było obojętnem, czy się nosi karabin na prawem, czy na lewem ramieniu, czy się występuje, prawą, czy lewą nogą naprzód, czy pan kapitan komenderował *Habt Acht, czy Ruht*! — czy go zapiszą do raportu za spóźnienie na „egzercyrkę,“ czy nie — czy go zamkną do kozy na dwadzieścia cztery godziny o chlebie i wodzie za przeróżne formalne uchybienia; tak sobie lekceważył wszystko, z taką stoicką cierpliwością. znosił wszystkie szykany, jak gdyby nie miał ani nerwów, ani kropli krwi, ani za grosz ambicyi.

W szkole, podczas wykładów o sypaniu szańców polowych, albo kopaniu rowów obronnych, najobojętniej w świecie rysował karykatury chudego, jak tyka, porucznika Czibulki, jeżeli nie chrapał, oparty na mojem ramieniu lub nie układał dowcipnych epigramatów.

Spać lubił namiętnie, codzień też spóźniał się na musztrę, a powołany do raportu, najbezczelniej komponował przygody, które mu nie pozwoliły stawić się do apelu.

Co kilka dni przynosił od lekarza poświadczenie, że ma

fluksyę, że cierpi na wieczną „dyahrryę, „że sobie wywichnął nogę, byle tylko uwolnić się od służby. Raz na miesiąc regularnie przytrafiały mu się nieszczęścia familijne, umierały ciotki, babki, stryjenki, okradali go złodzieje z butów, spodni, kabatów i najpotrzebniejszych części ubrania.

Nie było z nim rady.

Kręcił, kręcił, tumanił, okłamywał wszystkich od dołu do góry, a zawsze jakoś szczęśliwie wywijał się od uciążliwych obowiązków.

Tylko z kapralem Cisem nie mógł sobie poradzić.

Nie pomagały cygara *Virginia*, fundowane całemi tuzinami; które kapral Cis z pogardliwą miną, niby niechętnie przyjmował i wkładał za duże, odstające ucho z szykiem, właściwym tylko austryackiemu obrońcy skombinowanej ojczyzny; nie pomagały serdelki i halby piwa, fundowane w kantynie przy każdej sposobności, nie pomagały komplementa — *nicht und nichts, und noch ein Mal nichts!...*

Cis, jak smok połykał wszystko: i cygara, i serdelki, i piwo, i komplementa, a przed frontem przewracał groźnie oczyma, jak krwiożerczy tygrys, i pastwił się nad nami dworma szczególniej, których sobie obrał za swoich kozłów ofiarnych.

Kolega Stefek traktował swoją żołnierkę, jak zabawkę; zrezygnowany był na wszystko, byle tylko rok obowiązkowej służby przeminął; do oficerskiej rangi nie tęsknił wcale, on — który byłby przysiągł, że armatę robi się według przepisu owej znanej facecyi: „bierze się dużą

dziurę i oblewa dookoła roztop.onym spiżem.“

’ Kiedy mu nasz kapitan — (brr!... na samo wspomnienie jego dziś jeszcze zrywam się na równe nogi i rękę machinalnie podnoszę do czoła) — wymyślał: — *Sie Kamec! — Sie durch Gottes Unvorsichtigkeit Mensch — geordenes Vieh*! — co wszystko jeszcze nie wyczerpywało dosadnej frazeologii Marsowego syna, Sfefek patrzył przed siebie, jak głuchoniemy; i zdawał się nic rozumieć ani jednego wyrazu.

To była jego dyplomacya, która do wściekłości doprowadzała pana komendanta, rzucającego z oczu, jak z moździerza, ogniste bomby i kartacze na tych *verfluchte* — frejwilligów, co nie mogli żadną miarą wyzuć się z natury cywilistów i nabrać ducha militarnego.

Do przywilejów naszego stanu należało i to, że wolno nam było mieszkać prywatnie po domach, a tylko w pewnych godzinach dnia stawiać się w koszarach na musztrę i naukę czternastu przedmiotów mądrości wojskowej, od których w głowie powstawał taki chaos, jak gdyby wszystkie myśli biły w bęben na alarm.

W ciągu jednego roku mieliśmy połknąć całą praktyczną i teoretyczną wiedzę i strawić ją razem ze strategią, inżenieryą polową, regulaminem wojskowym, nauką o broni, taktyką, wymyślaniem pana kapitana, dokuczaniem kaprala Cisa etc. etc.

Komu się nie przewróciło we łbie od tej edukacyi, ten miał prawo stawać pod koniec roku do egzaminu przed prześwietną komisyą, pod przewodnictwem pana generała, i aspirować o złotą gwiazdkę na kołnierzu, szablę przy boku i

tytuł *eines k. k. Lieutenants*.

Jak nas było czterdziestu kilku, wszyscy drżeli, niby pióropusz podczas *kirchparady* na stosowanym kapeluszu komenderującego naszą brygadą przy Barnem wspomnieniu tej ostatniej próby naszych nóg, zahartowanych marszem, i naszych mózgów, nabitych, niby mina, wiadomościami sztuki wojennej.

Drżeli wszyscy oprócz kolegi Stefka, któremu było *ganz Pomade und Wurst*, czy obstanie, czy padnie przy egzaminie. Wiedział, że jeżeli Pan Bóg zechce zrobić cud, to pozwoli mu bez przygotowania wszelkiego zostać oficerem, a jeżeli nie zechce, to trudno sprzeciwiać się Jego woli.

Iluż to ludzi bez tej odznaki żyło na świecie i nawet chwaliło sobie swoją egzystencyę!...

Wprawdzie, według zdania kaprala Cisa, człowiek, który nie służył wojskowo i nie miał przynajmniej stopnia *gefreitra,* nie był wart nawet wystrzelonego naboju; gdyby to było w jego mocy, byłby wszystkich „cywilów“ nabił W jedną dużą armatę i wypalił z niej na wiatr.

Kiedy nam to powtarzał przez zaciśnięte, bursztynowego koloru zęby, podczas chwilowego wypoczynku, spoglądał na mnie i na Stefka takiemi oczyma, jakby dla nas dwóch wspaniałomyślnie osobne przeznaczał moździerze.

Licho wie, dlaczego nas ten Cis tak serdecznie nienawidził.

Niech mu tam nasze poczęstunki niewymowne będą, ale chyba nikt go nigdy tak nie karmił i nie poił, jak my obaj, chcąc go ugłaskać i pozyskać.

Strusi miał żołądek ten człowiek, a serce z granitu...

Ale czy miał serce?...

Bylibyśmy co do jednego przysięgli, że zamiast serca, miał pod kabatem „Regulamin wojskowy,“ który był alfą i omegą jego pojęć, zasad, przekonań i inteligencyi.

Kapral Cis, to duży ołowiany żołnierz na wzór tych, którymi w dzieciństwie bawiliśmy się niegdyś; to już nie człowiek, tylko automat z karabinem w ręku.

O ludzkich uczuciach, o delikatniejszych porywach serca, o szlachetniejszych instynktach — ani mowy!...

Ba!.. Otóż nieprawda; pomyliliśmy się wszyscy — kapral Cis był takim człowiekiem, jak my, a może i lepszym od wielu. Tak jest, przekonała mnie o tem... gęś, zwyczajna, duża, biała, gęgająca gęś, przekonała w lat kilka po rozstaniu się z wojskiem, ze służbą wojskową, z panem kapitanem, wiecznie zachmurzonym i klnącym, z Bobakiem, który się spił, jak Bela, z żalu przy pożegnaniu z mojemi butami, z karabinem, bębnem, kantyną i koszarami.

Kapral Cis zrehabilitował przedemną swoje człowieczeństwo.

Ale pozwólcie mi nie uprzedzać wypadków i do tej gęsi, pieczonej tak długo w tytule przy ogniu waszej ciekawości, dojść miarowym krokiem.

Bóg widział; ile bezsennych nocy spędziliśmy przed owym fatalnym egzaminem, ślęcząc nad książkami i kajetami, jak nam rycerskie łydki sromotnie drżały, gdyśmy prosto, jak kołki *en plaine parade*, w kasku na głowie, pozapinani na wszystkie guziki świecące i nie świecące, stawali przed długim stołem w sali egzaminacyjnej, pod

rotowym ogniem spojrzeń i zapytań marsowej komisyi.

Jak nakręcone pozytywki, jeden za drugim pytlował odpowiedzi o *Zündnadelgewerach*, o fortyfikacyach, szarżach kawaleryi, patrolach etc. etc. Każdy gotów był rozgrywać bitwy, brać szturmem szańce, zdobywać okopy, strzelać z armat, jak z papierowej pukawki... ho, ho!... „albośmy to jacy tacy?!..“

Przy praktycznym egzaminie szło trochę gorzej, nawet znacznie; udając przed frontem siarczystych Napoleonów, Turennów, Eugeniuszów Sabaudzkich, nie mogliśmy jakoś tak odrazu połapać się z komendą, ale szło to przecież.

Armia zyskiwała w nas dzielnych oficerów, jak z igły.

Gott sei gelobt! — rok próby i żołnierskiej edukacyi przeminął.

Kiedy się już wszystko skończyło, żal nam było rozchodzić się i wracać znów do stanu cywilnego, żal było tego życia koleżeńskiego, tych ćwiczeń, marszów, uciążliwych — prawda, ale zdrowych dla ciała, wesołych, pełnych nowych, nieznanych wrażeń...

Nigdy w życiu nie sypiałem tak smacznie, jak w ciągu tego jednego roku służby wojskowej, nigdy nie miałem lepszego apetytu i strawniejszego żołądka, jak podczas tych „sztrapaców“ fizycznych po polach, lasach, wertepach, wlokąc się za głosem bębna lub trąbki. A kiedy „banda,“ idąc na czele, zagrała nam marsza na tempo krakowiaka, muskuły choćby nie wiem jak zmęczone, wyciągały się, jak sprężyny, nowy duch wstępował w człowieka, pierś rosła, głowa z fantazyą podnosiła się do góry, tornister i karabin tracił naraz na wadze i szło się: *eins, zwei,* jak laleczka po

kurzu, czy błocie, po gościńcach, po bruku.

Kiedyśmy przechodzili miastem, przy dźwięku muzyki, ludzie stawali po trotuarach, głowy wychylały się z okien, panny wracające z pensyi uśmiechały się do nas mimowoli, służące w bramach kamienicznych zakrywały sobie usta fartuszkami, a wszyscy na głos powtarzali, pokazując nas sobie palcami:

— A oh, roczniaki idą — *freiwilligi!*

Wielki bęben huczał przed nami: bum — bum, trąbki i puzony wygrywały: dziń-ta dra-ta! dziń-ta drata!... słonko przeglądało się w naszych bagnetach i guzikach, młodość śmiała się w oczach, zdrowie rumieniło na ogorzałych twarzach.

Eh. co tam gadać — przyjemne bywały chwile!

Nawet kolega Stefek ożywiał się w takich razach i gdyby tak obowiązki żołnierza ograniczały się do defilady przy muzyce po rynku miejskim o południu, to kto wie, czy nie byłby nabrał smaku do żołnierki.

Siły się nam wyrabiały, z chuderlawych młodzików w ciągu roku wyrastały tęgie zuchy; był to najwidoczniejszy pożytek służby wojskowej.

Każdy sypiał, jak kamień, hartował się i mężniał, a jadł, jak wieloryb.

Czego się mam wstydzić, żem miewał nieraz apetyt, jak wygłodniały alligator, i gdyby *wurstle* były grube, jak pięciofuntowe działa, byłbym po manewrach zjadł ich ze dwie pary.

Żołnierz zziajany, zbiegany, od samego świtu na rekonesansach po polach, wzgórzach, lasach, byłby się

chwytał zębami żywego konia pod panem adjutantem.

My ze Stefkiem bylibyśmy nieraz zjedli żywcem kaprala Cisa, przegryzając razowym *komisbrodem* — o i jak!

Nic dziwnego, dochodziliśmy do antropofagii ze złości.

Poczekaj ty Cisu, damy my tobie po egzaminach!..

Ba, otóż to, żeśmy mu nic nie dali, bo na trzy dni przed końcem roku zabrali nam kaprala *im Sturmschritt.*

Bobak tylko, który wszystko wiedział, co się „regimentu“ tyczyło — powiedział nam, że go na własne żądanie „przetransferowali“ do innej kompanii na instruktora w kadeckiej szkole.

Zniknął nam z oczu, jak kamfora, przeczuwając spisek męczonych swych ofiar; jego szczęście, bo inaczej — no!...

Nie mogłem mu zapomnieć nigdy pogardliwego uśmiechu, z jakim patrzył na mnie, gdym razem z kolegami ważył się na wadze od siana w wojskowym magazynie; alboż to moja wina, że razem z bagnetem, butami i czapką, cała moja c. k. wielkość ważyła tylko sto cztery funty!.

Cis splunął, odwrócił się odemnie, jakby mu widok mej lekkości wstrętnym był i rzekł:

— To mi wojak! dobry cielok więcej waży.

No i powiedzcie, jak ja miałem mieć sympatyę dla człowieka, który w ten sposób upokarzał moje 104 funty!...

Wprawdzie sto-cztero-funtowy żołnierz *sammt Stiefel und Boyonnet* nie mógł imponować góralowi z pod Nowego Targu, który jedną ręką podnosił cały karabin z bagnetem i to od cieńszego końca, nie poczerwieniawszy nawet z natężenia.

Siłacz był, choć niepokaźnej pozytury, jak większość

austryackih żołnierzy, ale wytrzymały, zahartowany, zajadły, a rygorysta, że niech go kaci!

Ale dosyć tej jeremiady Cisowej — zniknął nam z oczu, choć jak kołek dokuczliwy w bucie, sterczał w pamięci długie lata.

Po egzaminach z rozmaitym rezultatem, ale przeważnie pomyślnym, zrzuciliśmy mundury, przedzierzgnęli się znów w przyzwoitych cywilów, wyściskali, wycałowali i rozeszli w świat. Odzwyczajonemu od tużurka, kapelusza i gorsowanej karnizelkl, dziwnym się wydawał nowy kostyum, przy którym brak bagnetu u lewego boku na białym rzemieniu sprawiał wrażenie jakiejś pustki, jakby po amputacyi.

Najczulej żegnaliśmy się z towarzyszem niedoli, poczciwym Stefkiem, nad którym ani Pan Bóg, ani komisya egzaminacyjna litości nie okazała.

Przepadł z kretesem.

On jeden biedaczysko, z rangą tylko kaprala i obowiązkiem dosługiwania w czynnej służbie, wyszedł z tych opałów.

Przez wpływy, stosunki, środki i środeczki udało mu się potem czasowo uwolnić od tego ciężkiego wyroku i pokuty za lekceważenie przez cały rok dobrowolnych obowiązków marsowego syna.

Biedny Stefek miał minę pierwszy raz skrzywioną i kwaśną, kiedy mu obwieszczono przy ostatnim raporcie takie postanowienie komisyi.

Na drugi dzień zameldował się *marode* i chyba tym razem nie na żarty... miał *dyahrryę*.

Minęły lata...

Militaryzm wywietrzał znów ze mnie do szczętu; dużo rzeczy zmieniło się od tego czasu. Skończyło się i studya, zaciągnęło w szeregi innej armi, która wprawdzie bez broni chodzi po świecie, ale niemniej musztruje się i walki stacza o *comisbrod* i żołd codzienny.

Byłem już na własnym chlebie i o własnych siłach uszedłem kawał drogi w życiu; wlokła się za mną tylko jedna kula u nogi, to... powinność wojskowa. Niewidzialne więzy przykuwały mnie ciągle do żelaznego zbrojnego kolosu, nazwanego armią; byłem żołnierzem w rezerwie i w każdej chwili rozkaz cesarski mógł mnie powołać w szeregi i wyrwać znów z moich stosunków.

Jeden jedyny wyraz był najstraszniejszą groźbą dla mojego spokoju i egzystencyi, a tym wyrazem była: „wojna!...“

Z najpiękniejszych marzeń o ziemskiem szczęściu zbudzić mnie mogła wrzawa bojowa i bęben dobosza, bijącego na alarm.

Wtedy nie było rady; zbieraj się, mości poruczniku, rzucaj wszystko i „rukuj“ do swojego pułku!... Przyjemna perspektywa.

Ile razy Andrassy, lawirując pomiędzy wirami i mieliznami dyplomatycznemi, zachwiał się, dostawałem dreszczów i rumieńców. Ja, który zasypiałem dawniej nad polityką w gazetach, teraz czytywałem codziennie wiedeńskie telegramy i bawiłem się w horoskopy polityczne.

Całą duszą należałem do ligi wiecznego pokoju

znienawidziłem nawet ks. Bismarka za te ciągłe postrachy i manię zbrojenia się od świtu do nocy, ale co go to mogło obchodzić!.. On robił swoje, a w danym razie ja musiałbym zrobić swoje i przypomnieć sobie, że nie darmo chowałem w biurku dyplom c. k. oficera.

Minął jakoś szczęśliwie rok jeden, drugi i trzeci; w dyplomatycznym garnku gotowało się ciągle, pryskało, syczało, kipiało raz ciszej, to znów głośniej, ale jakoś do eksplozyi nie przychodziło. Andrassy z Bismarkiem stali z warząchwiami nad kuchnią i warzyli ten bigos, mieszali, solili, pieprzyli, uśmiechali się do siebie i oblizywali, ale... garnka nie wywracali na ogień.

Zacząłem wierzyć w moją dobrą gwiazdę.

Nie będzie wojny, mówiłem sobie — pocoby miała być?.. albo to dawno była?.. przecież tak co roku nie można sobie krwi upuszczać. Daj Panie Boże Andrassemu zdrowie, że tak lawiruje zręcznie;mogę przynajmniej spać spokojnie.

Ba — nie należy nigdy dyplomatów — chwalić przed ich dymisyą i obalaniem gabinetu.

Kreutzhimmeldonnerwetter — alleluja!.. wrzasnąłem raz na wiadomość o rozruchach na półwyspie Bałkańskim. Oj — oj!... źle, będzie trzepanina!.. no i była, jak państwu wiadomo.

Takie to moje szczęście.

Pomijam całą historyę kampanii wschodniej, jako nie należącą do rzeczy, a przechodzę do tego okresu, w którym Austrya zaklinając się, że nie stąpi nogą na terytoryum ottomańskie — wybrała się pewnego pięknego poranku

uśmierzać tych figlarzy Bośniaków. co poczuli dziwny apetyt do żywych nosów i uszu swych sąsiadów.

To nie była przecież wojna, nie — broń Boże, to była okupacya, a że tam jakiś Hadżi-Loja wyprawiał awantury i że trzeba było strzelać nawet z armat, to trudno; *a la guerre, comme a la guerre*.

Wojna była przecież za Bałkanami,

Zaczęto mówić o mobilizacyi ze względu na zasadę: *si vis pacem, para bellum* i... omal, że nie musiałem swojego nosa i uszu zanieść na wety Serajowczykom.“

Nie wiele ja tam o tych drobnostkach trzymałem w mojem życiu, cóż to ostatecznie nos, albo ucho?... głupstwo, często więcej przeszkadza, niż pomaga — niechby go też schrupała jaka piękna Bośniaczka; tylko to odrzynanie sprawiało mi pewną dystrakcyę, a jeszcze, broń Boże — tępym kozikiem.

To mi psuło cały humor i odbierało rycerski animusz, zresztą byłem już *fix und fertig,* ale jakiś święty patron organów słuchu i powonienia ulitował się nad moją fizyognomią i sprawił, że mój pułk nie został zmobilizowany.

Nosem i uszami chwalić go będę po koniec życia za tę dobrodziejską przysługę.

Zostałem tedy doma, ale... niestety, poszli inni;ktoś przecie pójść musiał rozprawić się z Hadżi-Loją i tu dopiero zaczyna się historya o gęsi, do której szedłem tak długo bocznemi drogami, jak... Andrassy do Bośnii.

Wreszcie doszliśmy obaj do celu.

Co tam historya zrobi z moją „Gęsią“ i niby nie —

austryacką Bośnią, przewidzieć nie mogę, zdaje mi się wszelako, że słowiańska ta prowincyjka stanie się gęsią na austryackim rożnie i dopiecze już na nim do końca...

Był tedy śliczny ranek pogodny, słoneczny, wesoły, uśmiechnięty, jak dziewczyna przed lustrem, kiedy się wystroi w niedzielę.

Na dworcu kolei w Krakowie wrzało, jak w kotle.

Dnia tego transportowano dwa bataliony wojska na okupacyę. Żołnierze stali wzdłuż peronu w długim szeregu, obładowani do drogi, czekając na hasło przełożonych. Czapki z fantazyą założone na bakier, miny zuchowate, karabiny w rękach, płaszcze przez piersi w wałek zwinięte, tornistry pełne, płócienne torby wyładowane drobiazgami, manierki pełne wódki, kołysały się im na sznurkach, głowy do góry — ot, jak to bywa w czasach wojennych.

Przed frontem uwijało się kilku oficerów, pobrzękując szablami, wydając łamanym polsko-niemieckim językiem rozkazy. W tym chaosie głosów, rozmów, brzęku; urywanej komendy, wyrzynał się od czasu do czasu gwizd lokomotywy lub przeraźliwy szum wypuszczanej z kotła pary.

Jak zwykle, mnóstwo gapiów cisnęło się we drzwiach i oknach, po za rampą od ulicy, przypatrując się niby zwykłemu, a niezwykłemu widokowi.

Znalazłem się przypadkowe na peronie, wmięszany w ogólny wir.

Przeglądając szeregi żołnierzy, podzielonych na„cugi, “ szukałem mimowoli jakiej znajomej twarzy, badając charakterystyczne, typowe fizyognomie tych bohaterów z

konieczności.

Żal mi było biedaków, wysyłanych na ofiarę polityce zaborczej; prawdę powiedziawszy, wstydziłem się trochę w głębi duszy tej ekscepcyi, jaką mi łaskawy los zrobił, bo ostatecznie i ja byłem żołnierzem i mnie należało wybrać się z nimi na wspólną dolę i niedolę.

Wtem uczułem na ramieniu rękę... patrzę i oczom trudno mi uwierzyć.

W mundurze zapiętym pod szyję, obładowany jak prawdziwy *Kameel*, uśmiechnięty — zgadnijcie kto? wita się ze mną... Stefek.

A ty tu co? — pytam zdziwiony.

A jak widzisz, idę okupować Bośnię.

Bój się Boga, człowieku — więc się nie wykręciłeś?

— Nie chciałem.

— Co?...

— Nie chciałem; przyszła mi fantazya pójść na wojenkę, nudziłem się, będę miał rozrywkę.

Otworzyłem szeroko oczy i usta. Stefek szedł na wojenkę z nudów!... to było nie do uwierzenia.

— Gdzieżeś ty bawił przez te lata? — spytałem znów.

— Wszędzie, byłem nawet w Algierze — odrzekł z miną uśmiechniętą — doktoryat filozofii dyabli wzięli, jak ci może wiadomo. Spalili mnie przy egzaminie, zostało trochę grosza po ojcu, więc się tłukłem po świecie — teraz dobrałem się do płótna w kieszeni, nie było co robić, przypomniałem sobie moję żołnierkę i jak widzisz — *bin cingerückt!*

Miał tak wesołą, zadowoloną minę, jakby to

postanowienie sprawiało mu przyjemność.

— Aleś ty, biedaku, zawsze tylko kapralem? — zauważyłem, spojrzawszy na dwie jego białe sukienne gwiazdki na kołnierzu.

— Jakże chcesz, abym awansował przecież dopiero od sześciu tygodni nosze; znów mundur na sobie — odparł, poprawiając tornister na plecach — a z jednorocznej służby wyszedłem niebyt honorowo. Powiadam ci, żaden zawód nie wydawał mi się tak przyjemnym i urozmaiconym, jak wojskowy. Nie poznałbyś dawnego filistra ze szkoły ochotników.Zbudził się we mnie żołnierski duch... zobaczysz, zostanę jeszcze generałem!

— Daj ci Boże, chociaż nadziwić się nie mogę...

— Ba, człowiek jest od tego na świecie, aby się dziwił Panu Bogu — przerwał mi ze zwykłym sobie humorem — ale ja ci tu jeszcze jedną niespodziankę zgotuję. Patrzno tam — dodał, wskazując ręką na lewo, gdzie stał wyprostowany, jak świeca, w nowiutkim z igły mundurze, jakiś oficer, w niebieskich pantalonach, wpuszczonych w cholewy, przepasany żółtą, jedwabną szarfą z dwoma długiemi chwastami, z ręką opartą na nowiutkiej, wypolerowanej szabli, na złoconym rzemieniu.

Wyglądał, jak lalka z wystawy *Regimentsschneidra*.

— Kto to? — zapytałem, nie mogąc rozpoznać w pierwszej chwili twarzy odwróconej z profilu.

— Przypomnij sobie — no, nie poznajesz?

— Cis!... — zawołałem nagle, plaskając w ręce.

— A tak, *Herr Lieutenant* Cis — potwierdził Stefek — przed trzema dniami został mianowany oficerem.

Gorąco mi się zrobiło ze zdziwienia... Cis oficerem!... Koniec świata. *Da hört schon Alles auf!*

W gruncie rzeczy nie było w tem nic dziwnego; dawny kapral dostał się do szkoły, uczył się, pracował, harował, złożył egzamina i — awansował.

Dziwne bywają zrządzenia i psikusy losu; ten wyjątkowo był psim figlem, mianować oficerem Cisa i stawiać go nad kapralem Stefkiem!... może niesprawiedliwy, ale głęboki miałem żal do losów i fortuny.

To... to wydawało mi się naprawdę *colossal dumm!*...

Nie mogłem napatrzeć się na pana lejtenanta, którego fizyognomia jaśniała, jak zawsze, dumą i butą, a lata wprawdzie oszlifowały go trochę powierzchownie, ale zostawiły zawsze główne kontury rysów i całej postaci niezmienione.

Na pastucha dawnego jużby się był nie nadał, ale na fornala dworskiego, po zrzuceniu munduru i odpasaniu szabli, mógłby być w sam raz.

Z tym samym nosem zadartym impertynencko, z temi samem i szydłowatemi wąsiskami, stał jak c. k.Napoleon Bonaparte pod piramidami.

Drżyjcie Bośniacy!

Wszystkie doznane sekatury, wszystkie przykrości z czasów pamiętnej mojej żołnierki jednorocznej, zbudziły się nagle w mej pamięci, jak rój brzęczących komarów.

Żal mi się serdecznie zrobiło Stefka i instynktownie podałem mu rękę:

— A toś się dostał pod bat!-rzekłem ze współczuciem.

— Eh — machnął ręką — nie boję się teraz;będziemy

żyli w zgodzie. Nie taki dyabeł straszny.

Ba, ba!... tak się to mówi, dość było spojrzeć na tego *pana lejtenanta*, w którym dawny kapral urósł tylko do dziesiątej potęgi.

Kiedyśmy tak rozmawiali z sobą, nagle zrobił się we drzwiach wchodowych ruch; przez tłum przeciskała się wieśniaczka stara, opalona od słońca, z twarzą, jak suchy grzyb pomarszczoną, w chustce białej na głowie, w płachcie na plecach, ot — babsko jakieś stare, zapłakane, skrzywione i powtarzające ciągle:

— Do synocka, do synocka — tylko zajrzę, moiście wy — chudzina na wojackę idzie — puśćcieno — jakeście dobrzy!..

Ten i ów, szanując matkę w prostej kobiecie, usuwał się, ale większość zastępowała drogę i odpychała biedaczkę, zbywając żartami albo ostrem słowem; ale ona nic, tylko swoje powtarzała:

— Da synocka, do synocka, jakeście dobrzy!No, i puścili wreszcie; starowina przecisnęła się przez szereg żołnierzy i stanąwszy na wolnem miejscu, zaczęła się rozglądać dokoła, szukając widocznie czyjejś twarzy. Czyjejżby — jeśli nie synocka, co go pędzili na wojenkę.

Naraz oczy jej padły w stronę Cisa; drobnemi krokami podeszła ku niemu spiesznie, oczy się roześmiały na chwilę, jakby błyskawicą radości na widok oficera, ale znów puściły się z nich łzy — zatkała sobie całą ręką usta i stanęła w pewnem oddaleniu od odwróconego pana lejtenanta, jakby nagle onieśmielona widokiem paradnego munduru.

Stała tak, widocznie walcząc z sobą, ale przemógłszy się, poczęła nieśmiało, cicho, głosem pełnym czułości, a dziwnie miękkim i łagodnym, jakby z pod serca dobytym, wołać cichutko na niego po imieniu:

— Antaś, Antaś!... — a gdy to nie skutkowało, odważyła się podejść bliżej i skubnąć go za rękaw.

Cis odwrócił się, jak na sprężynie.

— *Was ist?* — zapytał szorstkim tonem, a zobaczywszy pochyloną przej nim wieśniaczkę, sponsowiał, niby rak w ukropie, tak, że nie było już różnicy między kolorem jego twarzy i wyłogów na kołnierzu.

— Nie gniewajcie się — szeptała starowina, głosem pokornym, jakby poczuwała się do popełnionej zbrodni — te... bo to... eh...

Słowa jej zamierały na drgających ustach, jąkała się i łkała, serce z niej chciało wyskoczyć na język, ale widok majestatu syna dławił jej w piersiach głos. Łzy tylko sączyły się po twarzy, koło nosa, do ust otwartych. — już i ocierać je zapomniała.

Nie mogąc się zdobyć na wymowę, nagle szybkim ruchem, odwinęła płachtę i wyjęła z pod niej sporą, białą gęś, którą ukrywała dotąd, jak tajemnicę macierzyńskiej pieczołowitości...

Gęś potrząsła głową i trzepocząc skrzydłami, zagęgała, jakby chciała zwrócić ogólną uwagę na tę scenę, na złość ponsowemu panu lejtenantowi.

Starowina niemym ruchem wskazywała tylko, że to dla niego, powtarzając jedynie: „ot!... to... na drogę się przydo.“

Plątały się jej wyrazy; gęś była wymowniejszą, gęgała za nią i za siebie...

Dziwna to była scena; wobec pochylonej wiekiem, ogłuszonej wirem wieśniaczki, stał syn, pan lejtenant, jej duma i pociecha, jej wielkość! o jakiej nic marzyła nigdy; wstydziło ją to teraz, że była matką takiego kawalera...

Oj, Boże, Bożeńku! żeby tylko tę gęś zabrał co prędzej, żeby sobie pójść tylko mogła z powrotem do domu i płakać a zawodzić nad tym „synockiem“ pocichu, w tajemnicy; ale tak stać na ludzkich oczach, wstyd!... no, przecież nie na złość mu to robiła, tylko z dobroci serca.

Wielka rzecz, oficer!... no wielka, już-ci, ale zawszeć to przecie i jej syn; i to taki syn, co iść musi na wojnę.

Jakżeż nie miała zobaczyć go jeszcze raz, wyprawić z Bogiem, a na drogę dać gościniec najlepszy, jaki był pod ręką — gęś!...

Żeby tylko ta gadzina tak nie syczała i nie pyskowała, jak najęta.

Obaj ze Stefkiem patrzyliśmy, jak w tęczę w pana lejtenanta Cisa... on stał, twarz mu się rozchmurzała, mieniła, okrągłe oczy wracały do normalnych rozmiarów, wreszcie postąpił krok naprzód i machinalnie z rąk matki wziął skrzydlaty podarunek, a gęś z jakimś panieńskim wstydem drzeć się zaczęła na całe gardło w oficerskich rękach.

Biedaczysko miał minę, jakby pod pręgierzem.

Rozstąp się ziemio i pochłoń pana lejtenanta z gęsią wrzeszczącą w obu rękach, z matką w chłopskiej płachcie przed nim, z całym batalionem wojska za nimi!.

Nie rozstąpiła się ziemia, nie pochłonęła nikogo, tylko poczciwy Stefek podbiegł ku panu lejtenantowi, jakiejś wewnętrznej komendzie dobrego, wrażliwego serca posłuszny, i uwolnił go od kłopotliwego ciężaru.

Zdawało mi się, że coś nakształt wdzięczności błysnęło w siwych oczach lejtenanta Cisa...

Dzwonek dał w tej chwili pierwszy sygnał do wsiadania.

Starowina otuliła się płachtą, z pod której stłumione łkania odpowiedziały dzwonkowi.

Twarz oficera zadrżała, uczucie synowskie, zbudzone płaczem matki, zwyciężyło dumę i ambicyę c. k. lejtenanta; pochylił się ku staruszce, zdjął czapkę i ucałował ją gorąco w rękę...

— Zostańcie z Bogiem! — przemówił do niej głosem, którego nigdym się w szorstkim ex-kapralu nie domyślał.

— Z Panem Bogiem, Antasiu! — wyłkała matka.

Jeszcze raz pochylił się do jej ręki, ale stara, jakby zawstydzona tą dobrocią syna oficera, cofnęła ją szybko, kreśląc krzyżyk nad jego ostrzyżoną głową, o płowych, jak słoma na rżysku, sterczących włosach.

— Mój Antku!. — szeptała cichuteńko i ustami ruszała, jakby w pacierzu.

Dawny nasz pogromca stał potulny teraz i wzruszony, z miną rzadką i spokorniałą; żal mu widocznie było matki, której może nie miał więcej zobaczyć, której pewnie lat wiele nie widział.

Zawszeć to matka, choć prosta chłopka, a on, aż oficer!.....

Matki nie awansują przecie, ale od natury mają rangę

wyższą i od generała....

Nie, ten Cis miał serce; byłbym go uściskał w owej chwili i pogodził się z nim i zapomniał mu wszelkie urazy.

Trzeba było tak zrobić.

Upatrzywszy wolniejszą chwilę, zbliżyłem się do niego i podałem mu rękę.

— Jak się pan ma, panie Cis. Cóż, poznaje mnie pan?

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się.

— Ah!... *servus*.

Znaku już nie było z chwilowego wzruszenia w jego twarzy.

Wsiadał właśnie do wagonu z innymi oficerami.

— Cóż, a pan nie „rukuje“ z nami? — spytał, wychyliwszy się przez okno.

— Nie, zostaję-chciałem dodać: „na szczęście.”

— I zawsze w cywilu?

— Zawsze.

Uśmiechnął się szyderczo, jakby nad moim biednym losem, i przyłożywszy dwa palce do daszka czapki, z właściwem zacięciem, choć i lekceważeniem widocznem, rzekł mi znów:

— *Servus*.

Poszedłem do wagonów trzeciej klasy, by jeszcze raz pożegnać Stefka; czasu niewiele już zostawało. Pan kapral, w nabitym jak beczka śledzi wagonie, prawił właśnie ostrym, krótkim, urywanym głosem jakieś rozkazy swoim ludziom.

U nóg jego leżała gęś pana lejtenanta.

— Stefku, bądź zdrów — zawołałem — a nie daj się tam

zarżnąć jakiemu Bośniakowi.

— Bądź zdrów, bracie — odrzekł mi — alboż to ja prosię... albo gęś? Zobaczysz, — wrócę oficerem, zobaczysz!... No i cóż ty powiadasz o tym Cisie?...dobry chłop, polubiłem go od tej chwili.

— Ja więcej nawet — odparłem — ja pogodziłem się z nim w duchu.

Dzwonek uderzył trzeci raz.

— Hurra! — odezwały się, jakby na komendę głosy w wagonach, powiały chustki, kapelusze, chaos wzmógł się jeszcze bardziej, maszynista gwizdnął, jakby klapę w piekle otworzono, i pociąg ruszył.

— Bywajcie zdrowi!...

Wróciłem ku drzwiom; tragarz jakiś z ogromną paką na plecach, rubasznym ruchem odtrącał kobietę, co wspinając się na palcach, spoglądała za odjeżdżającym pociągiem.

— Z drogi, babo!...

Kobieta skuliła się, jak spłoszona kura, i uskoczyła w bok, robiąc miejsce tragarzom i mnie.

Spojrzałem — była to matka lejtnanta Cisa...

Gęś była od niej szczęśliwszą — jechała z synockiem na wojnę.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie .*

S Ł O Ń.

SYLWETKA NIE-ZOOLOGICZNA

Znało go całe miasto, od ulicznika do „jasnego państwa,“ co używało przechadzki po plantacyach nad Pełtwią, ale o prawdziwem jego nazwisku wiedziała chyba tylko policya, która go miała zapisanego na liście włóczęgów bez zajęcia i stałego zamieszkania.

Nazywano go krótko „Słoniem,“ bo duży był, gruby, ociężały i leniwy...

Głowa jak, dynia, porosła gęstym, kudłatym nigdy chyba nie czesanym włosem, spoczywała na karku grubym, jak pień, wbitym w kadłub ogromnych rozmiarów, pod którego ciężarem uginały się nogi, grubości potężnych kafarów. Twarz obrzękła, nalana, z wyrazem apatycznej ospałości, cery blado-żółtawej, oczy wyłupiaste, koloru zwiędłych bławatów patrzące bez inteligencyi, bez zajęcia, obojętnie na cały świat i ludzi. Kilkanaście włosów, podobnych do niesfornej szczeciny, zastępowało wąsy i kępki brody łysawej. Obtopiona z tłuszczu i sprowadzona do swoich

pierwotnych konturów, twarz ta mogła nawet nie być brzydką, a w zakroju ust sinawych i wydymanych ciężkim oddechem, pozostał nawet ślad jakiejś foremności, którego lata i wyraz apatyi do szczętu zatrzeć nie zdołały...

Zkąd się wziął Słoń na bruku miejskim, od kiedy zaczął wysiadywać na, jednej i tej samej ławce Wałów hetmańskich, z nogami wyciągniętemi przed siebie, z rękoma zawsze w kieszeniach, w zabrudzonym surducie wypłowiałym, z pod którego nie zawsze wyglądały strzępki starej koszuli — nikt już nie pytał, bo i odpowiedziby nie znalazł.

Co roku zimą i latem od wschodu do zachodu w jednej pozie, na jednej i tej samej ławce, niemal w tym samym garniturze, przyzwyczajono się go widywać i nie uważać. Puste miejsce po nim więcej zwracało uwagi, niż on sam, pomimo olbrzymich swoich rozmiarów i oryginalnej fizyognomii. Czy deszcz rosił, czy słońce dopiekało, Słoń siedział nieruchomy;podczas deszczu kołnierz tylko podnosił do góry, głowę głębiej wciskał w ramiona, nogi schował pod siebie i zdawał się czekać cierpliwie, aż się niebo z chmur przetrze, ale gdy latem słońce śmiało się do ziemi, grube Słonisko rozpinało niedyskretnie surdut, bez względu na to, co z pod niego wyjrzy niepotrzebnie, zdejmowało mały, okrągły kapelusik z kudłów, kurzem i siwizną przypruszonych, zamykało oczy i z głową w tył przechyloną drzemało spokojnie, z wyrazem jakiegoś zwierzęcego zadowolenia i lubości.

Włóczęga wiedział dobrze, że mu nikt w tej sieście nie przeszkodzi i że rozpierać się może swobodnie i wygodnie

na swojej ławce, bo nie znajdzie się nikt drugi, któryby z nim chciał ją podzielić.Władze porządku publicznego, w osobie miejskich policyantów, próbowały go usuwać, ale uliczny Dyogenes nie dał się z miejsca ruszyć. Nie słuchał nawet, gdy do niego mówiono, głowę obojętnie odwracał w inną stronę i dalej siedział, albo drzemał, co najwięcej odmruknąwszy basowym i chrypliwym głosem:

— To mnie weź ztąd, jeżeli potrafisz...

Ale ktoby się był podjął takiego zadania!... Aby dźwignąć podobny kolos z ławki, wbrew jego woli, trzeba było czterech ludzi zwyczajnej miary.

Zresztą spokojny był i nie przeszkadzał nikomu; wymagał tylko, aby mu pozwolono wegetować...

Co go obchodził świat, ludzie, przyzwoitość publiczna, tysiące tych osób różnego wieku i stanu, które codziennie przesuwały się przed jego oczyma, wszystkie te strojne panie i panny, używające przechadzki. Są, to niech będą, a gdyby nie były — to i lepiej... Miałby więcej spokoju na swojej ławce, on i jego... Bijoux.

Bijoux była jedyną żywą istotą, która go bliżej obchodziła, na którą patrzył z zajęciem, do której przemawiał, dzieląc się skąpemi myślami, jakie się zabłąkały do jego ogromnej zwietrzałej głowy ludzkiej.

Świat mógł zginąć, zapaść się, wymrzeć dokoła niego-byłby nie zważał, byle Bijoux nie odstępowała nóg jego i siedziała na swojem miejscu z łebkiem swym rudym, kosmatym, zadartym do góry, z małemi oczkami zmrużonemi, jakby do snu, z tym czarnym świecącym noskiem, na którym uparte muchy siadały latem i zmuszały

ją do niecierpliwego prychania.

Bijoux była takim samym włóczęgą psiego rodu jak jej pan pomiędzy ludźmi. Mała, okrągła i opasła suczka, na krótkich nogach, stanowiła jakby złośliwe *pendant* do olbrzymiego Słonia. Pies zdawał się karykaturą człowieka.

On i ona tworzyli nierozdzielną parę, jakby uplastycznienie kontrastu pod względem rozmiarów, a podobieństwa pod względem zewnętrznego charakteru i fizyognomii.

Godzinami całemi Słoń i Bijoux siedzieli naprzeciw siebie, on na ławce, ona przed nim na ziemi i zdawali się rozmawiać oczyma, jakby wyczekując, kto pierwszy przerwie milczenie. Kiedy pan zasypiał, suczka machinalnie przymykała swe małe oczki, pokryte rudawemi kosmyczkami, i drzemała, jak on, aby instynktownie obudzić się, gdy pan podnosił powieki. Musiało im być dobrze z sobą; między tąludzką a psią egzystencyą wyrobił się z latami stosunek dziwnej wzajemności. Jeżeli w tem grubem, ociężałem cielsku, zatopione w sadle i tłuszczu serce człowieka, biło jeszcze jakiem uczuciem, to biło tylko dla tej małej, kudłatej, brzydkiej i niekształtnej poczwarki psiego rodu...

Kto tam wie, co tak sprzęgło psa z człowiekiem i ze wszystkich nici, jakie ulicznego włóczęgę wiązać musiały kiedyś ze światem, pozostawiło tę jedną tylko nić przywiązania nierozerwaną.

Może *simili similis gaudet*... Jak nie wiedziano nazwiska prawdziwego Słonia tak nie znano źródeł i środków jego utrzymania. Wałęsał się po ulicach i nic nie

robił, a jednak. żył i on, i jego pies, a nawet użyć mieli z czego! Nie widziano go, ażeby żebrał, jeść przecież musiał, a ktoby chciał darmo żywić taką parę!...

Ten i ów próbował wyciągać Słonia na rozmowę... Nie na wiele się to przydało! Apatyczna twarz pochmurniała usta zacinały się z uporem, oczy spuszczały w ziemię... unikał pytań, a odpowiedzi dawał niechętne, krótkie, ucinane i nic nie mówiące.

Z Bijoux za to rozmowa szła swobodnie. Słoń miał swój język, zmieszany z dziwacznej kompozycyi polskich, francuskich i niemieckich wyrazów, które pies zdawał się rozumieć. Kiedy mu humor do gawędki przyszedł, cmokał na sukę, brał za kudły, podnosił na szerokie kolana i nadając jakiś ton dziwnej pieszczotliwości swojemu grubemu głosowi, monologował:

— *Tiens*... Bijoux *ist ein Schelm*... bestya Bijoux... salceson zjadła, co?.. dobry salceson... *nix mehr, jusque a demain* nic nie pomoże... no, nie lizać pana!... *was is das*?.. pfui!... *ruhig sitzen*, bo za uszy weźmiesz!... a jak wyjdzie dziewiątka... *Grand Dieu!* pan psu zafunduje kotletów *a' la Soubise*, całą porcyę kotletów!... proś Boga Bijoux, żeby wyszła dziewiątka, a wtedy *hol' euch der Teufel!... maladetta*... Jeszcze im pokażemy, co?.. prawda, Bijoux?...

Pies przebierał nogami, prychał, kichał, ogonkiem kręcił i wspinał się po szerokich piersiach Słonia, chcąc mu koniecznie językiem dostać do brody i sapał z zadowoleniem jakiemś, jakby rozumiał wszystko i potwierdzał uszczęśliwiony.

Po takim dyalogu Słoń strącał psa z kolan, jakby miał

dosyć jego karesów, i zapuszczał ręce w kieszeń, wypchaną jak śmietnik kawałkami szpagatu, ogryzków cygar niedopalonych, okruchami suchej bułki, tytuniu, zapałek, pomiętych papierów i Bóg wie, czem jeszcze.

Ze zwitka zabrudzonych gazet wyjmował jakieś ważkie, sinawe i żółtawe karteczki, przeglądał i układał, rozdzierał, czasem zwęgloną zapałką zamiast ołówka kreślił na nich jakieś znaki i zdawał się tonąć w głębokiej zadumie, która była jedynym ważniejszym i widoczniejszym objawem jego umysłowej pracy. Czasem bardzo rzadko usta uśmiechnęły się, oczy zmrużone błysnęły żywszym blaskiem i ciężka ręka przekrzywiała podarty kapelusz na ucho, jakby z wyrazem fantazyi i jakieś niezrozumiałe mruczenie niedźwiedzia, skrobanego zgrzebłem po karku, przeciskało się przez żółte i rzadkie zęby słonia. Ale najczęściej rezultat owych lustracyi i obliczeń nie musiał być pomyślnym, bo Słoń przeciągał się z głośnem ziewaniem, zwijał napowrót swoje tajemnicze archiwum, okręcał je sznurkiem, a schowawszy w przepaścistą kieszeń, wstawał i powolnym, ciężkim krokiem, z rękoma na tył splecionemi odchodził ze swojej ławki.

Za nim toczyła się tuż przy nogach zamyślona Bijoux...

Na rogu ulicy pies i człowiek zatrzymywali się. Bijoux siadała na trotuarze, jakby długiem doświadczeniem nauczona, że nie prędko przyjdzie jej ruszyć się z tego miejsca, Słoń oczy wlepiał w wywieszone dwie ramy z okrągłemi otworami po obu stronach drzwi do ciemnego, brudnego kantoru, w którym za ladą, w czapce na głowie, z piórem gęsiem w zębach, stał żyd i bystrem okiem

przeglądał długie kolumny cyfr, zapełniających, całoarkuszowe fascykuły.

Duże, wyłupiaste oczy Słonia powiększały się jeszcze bardziej, nozdrza rozdymały. Pochylony naprzód, wlepiał wzrok w okrągłe otwory wystawki, z których pięć liczb wyzierało, i wpatrywał się w nie, jak w tajemnicze zjawisko. Apatyczna twarz jego zmieniała się zupełnie pod jakąś mieszaniną wyrazów, ciężkiej, wysiłkiem woli zbudzonej inteligencyi. Od czasu do czasu usta wymawiały głośno: *cinq... dixhuit...* czterdzieści jeden... *sechzig... ein und achtzig*...i w miarę tego dawna apatya oblekała tę tłustą, obrzękłą, rozlaną twarz; pokręcał głową, wydymał usta z wyrazem zniechęcenia i z westchnieniem miecha przy organach w wiejskim kościołku, odchodził od kantoru liczbowej loteryi.

Dziwna rzecz!... W tym obojętnym, ospałym, wystygłym dla wszystkiego człowieku, przechowała się jedyna namiętność, która jak trychina, zaszyta w sadło grubego cielska, nurtowała je bezustannie od wielu lat. Słoń dawał się kusić Fortunie i zwodzić z tygodnia na tydzień... *Amba, tema, quinferna* przesuwały się po jego głowie, a leniwa myśl budowała Z nich całe gmachy planów i rojeń.

Może wiedział, że w życiu pieniądze, to zaklęcie czarodziejskie i talizman, który nawet taką bryłę, jak on — ożywić i urochomićby potrafił; ale zkądby mógł wziąć tych pieniędzy, on, pasorzyt, niezdolny do żadnej pracy, do niczego już, zatyły i ociężały, opuszczony i oderwany od całego świata, gdyby ich ślepym trafem nie miał dostać!...

Loterya nie miała oczu, nie wybierała ludzi, rozrzucała

na chybi-trafi szczęście i mamonę, złoty deszcz sypała nieraz w rynsztoki, w błoto, a przecież on tyle życia spędził nad ściekami...

Tak niewiele mu było potrzeba; trzy szczęśliwe cyfry mogły go były zrobić bogatym. Co to znaczyło być bogatym dla Słonia?.. jemu przecież wszystko już stało się obojętnem. Coby mógł nabyć, kupić, pożądać, gdyby miał nawet ku temu środki?... Sam nie wiele się nad tem zastanawiał, ale instynktownie czuł, że gdyby mu tylko w palcach zaszeleściły banknoty — zbudziłyby się i pragnienia; gdyby w ten dziurawy, pomięty kapelusz filcowy. jaka dobra wróżka nasypała mu była złota po same brzegi, dźwięk jego ocuciłby zapewne z letargu uśpioną duszę.

Toż kiedyś przecie, dawno, gdy był młodszym, żył i on, jak inni ludzie, i umiał żyda używać, ale to dawno było...

W ciasnym i brudnym kantorku loteryjnym Słoń co sobota bywał stałym gościem...

Milcząco, machinalnie wyciągał tam rękę z kilkom miedziakami, a żyd-kolektor wydawał mu za nie kartkę z numerami, nie pytając już nawet, na co chce stawiać. Wiedział z góry, że Słoń na jedne i te same liczby szczęścia od kilku lat próbował, jakby się uparł zmusić Fortunę do ustępstwa na jego korzyść, a może leniwy umysł nie chciał trudzić się nowermni kombinacyami. Inni układali całe szeregi cyfr sztucznie, radzili się kabały, senników, przypadku; Słoń za ciężkim był na to. Jemu się nigdy nic nie śniło od czasu, gdy po raz pierwszy ułożył się na barłogu Maciejowej, pod staremi schodami, w komórce, w

której biedna przekupka składała swój stragan, dziurawe kosze i resztki niesprzedanych w ciągu dnia jarzyn lub owoców...

Wtedy pierwszy i ostatni raz miał jakiś wyraźny sen, niby majaczenie na jawie. Zdawało mu się, że małym chłopcem siedzi przy stoliku, z łokciami opartemi, a przed nim blada, wyschła i zapłakana kobieta układa pasyans ze starej zatłuszczonej talii kart... Tak w dziecinnych latach siadywał często przy matce..., Matka trzy karty rzuciła przed niego i powiedziała: „zobacz. “ Odkrył pierwszą: była newka *coeur*; odkrył drugą: była newka *pique*; odkrył trzecią: była newka *trèfle*.

Kiedy się zbudził, sen nie schodził mu z myśli:te trzy newki stały mu ciągle na oczach. Nie lubił z nikim rozmawiać, ale tym razem trzeciego dnia zwierzył się Maciejowej. Przekupka się zamyśliła i rzekła:

— Trzeba postawić 3, 9 i 27... niech panicz próbuje szczęścia.

I odtąd zaczęła się historya z loteryą.

A dlaczego stara Słonia nazywała „paniczem;“ gdy byli sami, to długo opowiadać...

Ten „panicz“ jakoś tak nie przystawał ani do wieku, ani do rozmiarów, ani do łachów włóczęgi, a jednak Maciejka, jak ją nazywano na targu — inaczej nie odważyła się go tytułować. Dla niej bowiem był on zawsze paniczem, którego pamiętała dzieckiem nowonarodzonem, którego widywała na kolanach matki, potem dorastającym chłopakiem, młodzieńcem, aż go zgubiła z oczu na jakiś czas, aby potem spotkać prawie w łachmanach i przygarnąć

do swojej własnej nędzy. Maciejowa go przecież karmiła; z tych dwóch, wyschniętych dziś i zawiędłych piersi, on brał pierwszy swój pokarm, a co to za pokarm musiał być, kiedy na nim urósł taki Słoń!... Może w tem uczuciu szacunku i przywiązania dla niego było coś z egoizmu i dumy prostej kobiety, która sobie przypisywała część zasługi w wyhodowaniu takich bujnych kształtów ludzkich.

Maciejka pyszną była ze swojego podchówku. I mogła się pysznić, miała z czego. Wykarmić tak wątłe z urodzenia dziecko biednej, chudej, delikatnej jakiejś guwernantki, którą los rzucił z nad Loary aż nad Pełtew, to trafunek; bo matka Słonia była guwernantką, Francuzką, podobno nawet z dobrej rodziny. Maciejowa wiedziała o niej dużo, ale nie chciała opowiadać; na co?... ot, wstyd był i tyle...Jakiś tam młody birbant zbałamucił, uwiódł, czy nawet gorzej. Biedna Francuzka nie miała po co wracać do swoich, pozostała wśród obcych, z dzieckiem i swoją dolą smutną...

Co one się razem napłakały nad kołyską tego małego niedźwiadka!... no, ale go wychowały przecież.

Było na co patrzeć. Chłopak, jak klucha, jak Herkules się rozrastał, a matka chuchała, dmuchała, pieściła, całe dnie biegała z lekcyami po mieście, aby zarobić na jego utrzymanie. Upatrzyła w nim coś anielskiego, modliła się do niego, jak do obrazka, a ciągle wyczekiwała, że los da im obojgu szczęście jakieś wielkie, fortunę, że ten ojciec, podobno magnat, zjawi się i postąpi, jak uczciwy człowiek..

Mijały lata... nie przychodził; albo mu tam śpieszno było do Francuzicy, kiedy miał już... żonę i swoje ślubne dzieci.

Matka wychowywała Słonia, jak panicza, bo to się

„dobrej krwi“ należało, jej zdaniem.

— *Ton pere etait un gentilhomme!* — śpiewała mu, kołysząc go do snu, i uśmiechała się przez łzy..do dziecka, czy do wspomnteń swoich, kto ją wiedział!...

Maciejka polubiła Francuzkę, choć się z początku nic rozumieć nie mogły, ale potem chłopak między mamką i matką był słownikiem żyjącym.Kochały go też obie — no!... jakże było nie kochać takiego tłuściocha? Kochały i psuły, każda po swojemu, dbając tylko o ciało, a o resztę miał dbać *Le bon Dieu* i św. tymczasem nie troszczył się o małego Słonia, a św.Jan miał za wielu innych imienników do protegowania...

Więc mały *Jean*, jak go nazywała matka, *Grzanka*, jak go przezwała piastunka — wyrósł na dużego... nicponia, a że się Jaś niczego, oprócz jeść, od kołyski nie uczył — więc i Jan niczego więcej nie umiał.

Son père était un gentilhomme!... alboż to nie dość? Matka chciała, aby jej klejnot, jej *Jean-bijoux*, był tylko najładniejszym z jedynaków, a Maciejka kontenta była, że wykarmiła takiego „kloca...“

Życie w wielkiem mieście stawało się coraz uciążIiwszem. O lekcye trudno było, chłopak coraz więcej potrzebował. Francuzka przeniosła się na prowincyę. Miała nadzieję łatwiej zarobić na jego utrzymanie — i po kilkunastu latach rozstały się z wierną mamką wśród łez.

Maciejka ryczała z płaczu, jak krowa, gdy ją zarzynają. Żal jej było i pani, i panicza — jego najbardziej, ale cóż — mus, niewola. Pożegnały się i... rozeszły...

Minęło znów czasu dużo...

Le bon Dieu zesłał wiele niespodzianek na biednych ludzi, a między niemi i cholerę, która grubego Janka zrobiła najniespodzianiej sierotą.

Licho nadało! był już wprawdzie dorosłym młodzieńcem, ale tak nagle pozbawiony swojej najgłówniejszej i jedynej w życiu podpory, zachwiał się, nie wiedział, co ma teraz zrobić z sobą, sam jak palec; zdrów, co prawda, silny, bardzo silny, atleta prawie, jednak co mu przyszło z tych muskułów, z tego bawolego karku i grubych rąk, jak u cyklopa!

Niezaradny był z natury, ciężki, przyzwyczajony do gotowego, a tu naraz wszystko się tak zmieniło. *Jean-bijoux* uczuł się sierotą i ugiął pod ciężarem takiego losu, którego nie przypuszczał. Pierwszy raz potoczyły mu się dwie grube, jak groch łzy, po okrągłej twarzy, kiedy się znalazł po pogrzebie matki sam jeden w ich wspólnej izdebce. Usiadł na sofie, ręce załamał, głowę spuścił i płakał, jak małe dziecko, a nie było nikogo, coby mu te łzy otarł...Spłakany, znużony wrażeniami, do których nie przywykł, o zmroku, w cichej stancyjce — usnął i sen był pierwszym i jedynym pocieszycielem osieroconego Słonia...

Nie pocieszyło go nic w życiu, nikt się nie ulitował, bo i nad czem?!... taki tęgi, ogromny chłop, tylko skały łupać!...

I życie toczyło się, jak skała; ciężko mu było, rady sobie dać nie umiał, miejsca znaleźć nie potrafił, ludzie zamiast pomódz, przedrwiwali, nazywali pogardliwie Słoniem i darmozjadem — ot bieda! przecież się mniejszym, chudszym, zręczniejszym i sprytniejszym zrobić nie mógł, a

le bon Dieu ludzi nie przemienia według danej formy i miary.

Dużo tak lat minęło znowu...

Raz przed straganem przekupki, na rogu Zarwanicy, stanął jakiś człowiek o zmierzchu, wyszarzany, obdarty, z psem na ręku i sięgnął po bochenek chleba.

Przekupka ocknęła się z drzemki, przetarła oczy i machinalnie, uprzedzając zapytanie, rzekła:

— Ośm grajcarów — ale spojrzawszy na kupującego, otworzyła szeroko usta, poczerwieniała i porwała się z zydelka.

— Jezu Nazareński, toż to panicz!...

Pies na ręku mężczyzny mruczeć zaczął.

— Jezu, Jezusieńku, a cóż się z paniczem zrobiło! — zawodziła stara i łzy zadławiły jej resztę słów w gardle... — nieszczęście ty moje, nieszczęście... a mama, a pani gdzie?

— Oh, mamę cholera wzięła — odezwał się naiwnie gruby, tubalny głos mężczyzny — a wy zkąd?..

— Jezu ty mój najsłodszy, a toż panicz nie poznał Maciejki!...

No i od tego czasu mieszkali razem... Znowu ona była jego karmicielką, jak ongi; tylko, że teraz miała jego i psa do wykarmienia. W niego, „sierotę,“ który się błąkał i tułał po świecie, wstąpił nowy duch od chwili, gdy odnalazł dawną swoją mamkę.

Zdawało mu się, że drugi raz na ten świat przyszedł; nawet Bijoux szczekała o kilka tonów wyżej!

Trudno powtórzyć wszystkiego, co biedne Słonisko opowiadać musiało zapłakanej Maciejowej o swej odyssei,

kiedy się znalazł wreszcie w komórce, na sienniku, pożyczonym od stróża; trzeba być bardzo ciekawym, albo co najmniej, własną piersią wykarmić takiego „kloca, “ aby tego słuchać z zajęciem...

I znów mijały lata za latami...

Pewnego piątku p. Salomon Silberstein, kolektor loteryjny, przy rogu ulicy Sykstuskiej, at się za brodę chwycił, gdy otworzył depeszę z numerami ostatniego ciągnienia. Sam swoim własnym oczom, które tyle już *ambów, temów*, a nawet dwa *quaterna* widziały, nie dowierzał. A toż na początku, jeden po drugim stały numera: 3, 9 27. Fortuna dała się przemódz fatalizmowi Słonia...

P. Silberstein uśmiechał się do swoich myśli, mruczał, obliczał coś pocichu, czapkę z ucha na ucho poprawiał i na zegar spoglądał.

Dzień był lipcowy, upalny. Pod wieczór zanosiło się na burzę, z zachodu szły chmury, jak tabun dzikich widm po niebie. Nagle w drzwiach kantoru zrobiło się ciemno, jakby je okiennica zasłoniła, i po chwili olbrzymia masa ciała jakiegoś, potykając się o próg, wpadła do wnętrza...

Był to Słoń... Oczy mu na wierzch wyszły, twarz drgała kurczowo, olbrzymia pierś dyszała wzruszeniem fizycznem i moralnem; przypadł do lady, pochylił się nad nią i oparł grubemi rękoma. Nie mógł się widocznie zdobyć na więcej głosu, tylko wpatrując się w kolektora, powtarzał po kilkakroć podobne do ryku:

— No?.. no?..

Było w tem wszystko: i pytanie, i tryumf szczęśliwego

wybrańca fortuny, i niepewność własnego szczęścia, i gorączka zrealizowania go na gotówkę.

Sapał głęboko, jak hippopotam, po twarzy spływał mu pot strugą...

U drzwi piskliwym głosem poszczekiwała Bijoux, nie mogąc się wdrapać na wysoki próg kantoru z ulicy.

P. Salomon Silberstein był człowiekiem doświadczonym i otrzaskanym z takiemi objawami szczęścia ludzkiego i radości, przecież u niego tylu ludzi wygrywało znaczniejsze sumy, niż jakieś mizerne *terno*.

— Nu, powinszować panu Słoniowi — rzekł z uśmiechem i podsunął dębową kanapkę swojemu gościowi, który w jego oczach przestał być obszarpańcem i włóczęgą od chwili, gdy stał się szczęśliwym właścicielem wygranej...

Ale p. Salomon Silberstein był za sprytnym kolektorem, żeby nie skorzystać z cudzego szczęścia.

Trudno opowiedzieć, jakim sposobem i jakiemi argumentami zdołał po dwóch godzinach narady w alkierzyku przy kantorze przekonać w końcu Słonia, że nie straci tak wiele, jeśli mu odprzeda za gotówkę, zaraz wypłacalną, kwitek loteryjny i weźmie całą setkę i ośm guldenów pojedynczych, zamiast sumy, jaka mu z *terna* przypadała, po załatwieniu wszystkich formalności, strąceniu prowizyi, stempla, podatku i t. p. opłat obowiązkowych.

Tak, cała okrągła setka, w jednym pięknym, nowiutkim banknocie, którym kolektor drażnił oczy Słonia, przyczyniła się najwięcej do przybicia targu.Biedaczysko

całej setki, nawet w najszczęśliwszych swych czasach, nie miał w ręku i w kieszeni, a teraz stawał się jej prawowitym, rzeczywistym właścicielem. Jakżeż nie miał ustąpić!

Trudno mu było uwierzyć w swój skarb nawet wtedy, gdy p. Salomon Silberstein, złożony banknot wcisnął mu w rękę wzamian za odebrany kwitek loteryjny i odprowadzając go do drzwi od tyłu, wychodzących na dziedziniec, powtarzał kilka krotnie:

— Nu, *gutnacht*, panie Słoń! *gutnacht*...

Kiedy się ujrzał wreszcie na ulicy, deszcz grubemi kroplami padać zaczął i ulewa zbierała mu się nad głową. W błocie na trotuarze i w wodzie, spływającej w rynsztokach, odbijały się co chwila srebrną poświatą błyskawice i w dali warczały gromy. Bijoux, skuliwszy ogon pod siebie, zachlapana i zabłocona, szła za nogą, a Słoń, ściskając w ręce pieniądze ukryte w kieszeni, szedł swoim zwykłym, ciężkim krokiem i mruczał. Nie czuł nawet, że mu woda za kołnierz spływała i błoto chlupało w podartych butach. Co mu tam dzisiaj deszcz!... taki pan z niego, setkę ma caluteńką i jeszcze coś w naddatku, to niechaj leje, jak z cebra.

No, patrzcie i on przecież wygrał po tylu latach!... Tylko co pocznie z temi pieniędzmi, nie myślał jeszcze.Wpierw musi się niemi nacieszyć, napatrzeć im, na pieścić niemi. O! jak mu żal będzie rozmienić jutro, albo nie — lepiej dopiero pojutrze ten piękny, bielutki banknot!... Ha! trudno — przecież go wiecznie tak w kieszeni nosić nie może i kułak za pugilares służyć ciągle nie będzie...

W szynku „pod trąbką“ było pełno... Z po za czerwonych

firanek w oknach bił blask naftowych lamp i dochodził zmieszany chaos głosów, muzyki, śpiewów ochrypłym głosem, tłumiony pluskiem deszczu i szumem wiatru. Słoń postanowił przeczekać trochę ulewę, która i jemu wreszcie dokuczać zaczęła...

Wszedł i kazał sobie podać piwa, obwarzanków i dwa jaja na twardo, a dla Bijoux... dla Bijoux, zanim dostanie przyrzeczone kotlety *a la* Soubise, kupił spory kawał salcesonu. Usiadł w kącie, przy wolnym stole i jedną ręką skubiąc salceson, rzucał swojej przyjaciółce czworonożnej; drugiej bał się wyją z kieszeni, aby mu pieniądze same nie wyskoczyły i nie uciekły.

— Ha, ha! *canaille*, *coquine* — monologował swoim zwyczajem, spoglądając na sapiącą towarzyszkę, która siliła się połykać jak największe kawały — smakuje salceson?.. co?.. Pies Pana Boga nie prosił, a dziewiątka jest!... Aha!... *ruhig sitzen, ruhig... schön essen,* tak, tak... *le neuve, le vint sept*... szelma Bijoux, pies Bijoux, kanalia Bijoux!

Po czterech halbach, pięciu jajach i dziesięciu obwarzankach, Słoń wyszedł na ulicę i skierował się ku domowi. Burza ustała zupełnie, księżyc wypłynął na niebo, duży, srebrny, uśmiechnięty, jak wygolona twarz filistra w niedzielę, i przyświecał Słoniowi po drodze. Nawet on zdawał się mu uniżać i zasługiwać teraz, jakby mu zajrzał w kieszeń.

— Szelma księżyc — pochlebca, szelma Bijoux pochlebca, szelma Silbersztein!...

Kiedy się senne trochę Słonisko wsuwało do swojej komórki i omackiem szukało barłogu pod schodami, biła

właśnie dziesiąta na ratuszowym zegarze i Jakób z trzaskiem zamykał bramę kamieniczna.

W dziesięć minut potem szczęśliwy właściciel setki zaczął chrapać snem sprawiedliwego, ściskając zawsze kurczowo rękę w kieszeni, a w ręce swój skarb papierowy.

Przed zaśnięciem, głaszcząc zmoczone kudły swojego psa, Słoń wiedział już, na co najpierw użyje jutro swoich skarbów; kupi nowy siennik dla siebie i rogóżkę dla Bijoux, a potem... spyta, co świat kosztuje!

. . . . . .

Słońce od kilku godzin dogrzewało już ludziom, a Jakób od kwadransa stał w otwartych drzwiach sypialni. Słonia i klął: — A bodaj to choroba z takiem spaniem... termoszę i termoszę, a to jak kłoda leży i leży. Skaranie Boże!... wstańcież ino, kiedy wołam, Słoń, słyszcie, Słoń!...

Ale ogromne cielsko Słonia, rozwalone na ziemi, sapało i mruczało tylko. Jedną rękę podłożoną miał pod głowę, druga zaciśnięta zwisła z siennika. Bijoux siedział przy niej rozbudzony oddawna i lizał grube palce, jakby przez pamięć wczorajszego salcesonu.

— Hej, Słoń, na rany Boskie, a zbudźcież się, a to zatracony człowiek! — pomstował Jakób.

Czego siły ludzkie nie zrobiły, tego dokonała woda, chlupnięta z konewki na ogromną twarz śpiącego; zerwał się odrazu i usiadł, mruknąwszy swoim lwim głosem:

— No? a czego tam?

— Przecież! Zbierzcie no się ino i... tego, trzeba pójść do

komisarza, do policyi, bo... to, względem Maciejki — krzyczał mu nad uchem Jakób pochylony.

— No?...

— A no, trzeba protokół spisać i te... bo ze szpitala przysyłali.

Słoń, niedobrze rozbudzony, powtarzał tylko swoje: „no?“ ale sensu niewiele zrozumiał ze słów stróża.

— A bo ci wczoraj babę poraziło od słonka, i tego... wzieni do szpitala odrazu, ale ponoć w nocy zrobiła *aus* i już z niej nic nie bedzie, pedają...

— No, więc co?

— Ta i umarła...

— Kto?

— A przecież godam po ludzku, jak do człowieka, a ten swoje no i no... Ktoby zaś, Maciejka.

— Co, Maciejka?

— A no słyszycie, umarła... z porażenia.

Słoń otworzył srzeroko oczy; zaczął dopiero teraz pojmować.

— Maciejka...umarła.?

— A jakże.

— To nie może być! — wrzasnął; nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby ona umarła dzisiaj właśnie, kiedy on wczoraj *terno* wygrał. Jakto, znówby został sam, sam jeden, bez nikogo, tylko ze swojem sieroctwem, teraz, kiedy już starszy i bardziej ociężały i jeszcze więcej zleniwiały i niezaradny? Nie chciał temu wierzyć. Zaczął kułakami oczy przecierać i mruczeć... zdawało mu się, że jeszcze śpi...

Nagle... jak skała wysadzona w powietrze zerwał się na pół z posłania, oczy przestraszone wytrzeszczył, rękę otworzył i zaczął szybkiemi niespokojnemi ruchami szukać około siebie, przewracać kieszeń, macać po sienniku, wreszcie, jak lew ugodzony śmiertelną strzałą, ryknął nieludzkim jakimś głosem.

Na ziemi, pośród obierzyn, śmiecia, słomy, walały się strzępki białego papieru, podarte ostremi zębami psa... Były to resztki banknotu, który Bijoux wygrzebała z ręki swego pana, cały skarb, cały majątek, całe jego mienie, którem jedną noc tylko mógł się biedak nacieszyć... We śnie, nieprzytomny, wyciągnął instynktownie rękę z kieszeni, ot i wszystko, wszystko przepadło!...

Słoń odgadł raczej, niż zrozumiał swoje nieszczęście i w jednej chwili straszna rozpacz, żal, ból, wszystkie zburzone i zawiedzione nadzieje, cisnęły nim o ziemię, płakać zaczął, jak małe dziecko, i tarzać się, jak w konwulsyach.

— Nie przypuszczajcież tak do serca — perswadował Jakób, któremu ten płacz wydawał się rozpaczą po Maciejce. — Ostać możecie w tej ciupie, póki gospodarz nie wynajmie komu. No, Słoń, opamiętajcież się!

Grube, sklepione barki słonia, ciągle drgały konwulsyjnie... Bijoux, sprawczyni tego wszystkiego, nie rozumiejąc swego okrucieństwa, podeszła do pana i zaczęła lizać jego tłuste policzki, wciśnięte w słomę. Zerwał się, jakby żądłem żmii dotknięty... żądza zemsty zawrzała w nim, jednym gwałtownym ruchem porwał skowyczącego psa, tego, który pierwszą radość biednego życia zepsuł mu i zniweczył, który popchnął go znów w dawną nędzę, jego

kanalię, tak ukochaną, tak pieszczoną, wczoraj jeszcze karmioną salcesonem z pierwszych datków Fortuny... ha — giń, żmijo!... musi się zemścić na tobie. Jeden uścisk żylastych palców około szyi i będzie po wszystkiem...

A jednak... palce odmówiły posługi.

Kiedy spojrzał na ten kudłaty łeb, który tyle razy wyciągał się ku niemu, w te wystraszone ślepia, co tyle lat patrzyły mu w oczy z jakiemś współczuciem, niemal ludzkiem, kiedy samotny, od całego świata odsunięty, wegetował i nie miał ani pociechy, ani towarzysza, ani jednej duszy przyjaznej, tylko poczciwą i starą Maciejkę i starą Bijoux, na całej, całej olbrzymiej kuli ziemskiej, coś mu dech w piersiach zatkało, coś go w gardle ścisnęło, coś mu ręce zesztywniło, jak kleszczami.

Nie, nie mógł przecie teraz zostać taki sam, opuszczony, złamany, musiał mieć choćby psa na świecie.

I z grubych, drżących łap Słonia, Bijoux skowycząc, wysunęła się na ziemię,..

Stary Jakób przeżegnał się i patrzył, jak na waryata.

. . . . . .

Wśród zamiataczy ulic, na dziedzińcu ratuszewym, z ogromną miotłą, stawał co rano olbrzym w obdartym, wyszarzanym surducie, dziurawym kapeluszu filcowym, boso, z twarzą obrzękłą, nalaną, apatyczną, a obok niego mała, kudłata suczka, ledwie włócząca nogami, ślepa i dychawiczna...

Człowiek przygarbił się, pochylił, posiwiał —

machinalnie, jak automat, w którym dawno pordzewiały wszystkie sprężyny, chwytał zwolna swoją miotłę, zgarniając kurz. z ulicznego bruku i błoto z rynsztoków.

Niekiedy zatrzymywał się, opierał oburącz na miotle i z pochyloną głową wpatrywał się bezmyślnie, ale chmurnie, w burego psa, blademi swojemi oczyma, ale pies białe mi ślepiami nie widział go i nie pokręcał ogonem, jak niegdyś przed ławką na Wałach hetmańskich.

Biedna ślepa Bijoux!

— Hej Słoń! leniuchu jakiś, a dalej do roboty, cóż to ty darmo będziesz chleb zjadał? — odzywał się grzmiący głos dozorcy i budził zamiatacza z apatycznej zadumy.

Biedny Słoń, po co go matka rodziła!...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie .*

J Ö Ö L.

(Obrazek z życia wyspiarzy fryzyjskich).

I.

Taam Jensen, Wulf Bohn i Krystyn Lorenzen z dwoma braćmi młodszymi, załatwiwszy sprawunki świąteczne w Tondem, małej mieścinie Szlezwickiego wybrzeża, gotowali się z powrotem do domu.

Pocztowa łódź czekała na nich u przystani, mieli wrócić nazajutrz o świcie w samą Wilię.

Spieszno im było; zapóźnili się już i tak bardzo, bo musieli dwa dni na stałym lądzie dłużej siedzieć, niż zamierzali. Zatrzymała ich sprawa ważna; sąd ich wzywał na świadków. Szło o zabójstwo Japa Dunzena, sternika z „Cobry,“ którego przez zazdrość pchnął nożem ten głupi Rink Pidder w przypuszczeniu, że go przed kapitanem szpetnie obmówił, jakoby z beczki araku słomką wyciągnął przeszło dwie kwarty smacznego trunku.

Ale to była plotka; kapitan sam wpadł na ten domysł, rozmawiając z Rinkiem, bo buchał od niego arak na trzy

kroki, a za uchem miał jeszcze zatknięte źdźbło, które mu za lewar służyło. Kapitan potrzebował tylko słomkę powąchać, aby się przekonać, do jakich celów mu służyła.

Rink upił się jeszcze bardziej ze zmartwienia i despektu, a gdy sobie dolał po sam czub, chwycił nóż i w szynkowni majtków „pod kotwicą“ wsadził go Japowi w brzuch; niech nie szczeka ten morski pies, huncwot!... kanalia!

Trzeba było, aby to na własne oczy widzieli Taam, Wulf i Krystyn; trzech ich do sądu pociągali i pod przysięgą kazali zeznawać, jak i co było?.. Przysięgli, zeznali, ale dwa dni stracili przed samym Jöölem, czyli przed Bożem Narodzeniem, jak się to w ich języku nazywa.

Ha, no — trudno!... trzeba i dla sprawiedliwości coś zrobić.

Mieli o czem opowiadać w Westerlandzie i Keitumie przez całe święta, bo na całym Sylcie tą sprawą zajmowano się już od trzech miesięcy i stawiano zakłady, czy sąd skaże Rinka Piddera na śmierć, czy tylko na więzienie, skoro zabił po pijanemu.

Stary Taam, istny wilk morski, który całemi tygodniami słowa z ust nie wypuścił do nikogo, był tą historyą tak przejęty, że aż trzy razy, żując prymkę, splunął i ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszy, powiedział:

— Utną głowę!... łeb utną!... głupie bydlę!

Stary Taam życie całe spędził na morzu, sługiwał po rozmaitych okrętach, odbył nawet podróż dookoła świata, ale w języku był twardy, jak skała;można go było mieć nawet za niemowę, taki był z natury milczący i ponury

Ale marynarz był dzielny. Ho-ho!... gdzie się tam komu z

nim równać! Za młodu dyabła-by się samego nie zląkł, morze było dlań bajurą, na łodzi chciał się we dwóch wybrać do Danii, tylko, że towarzysza godnego siebie nie mógł znaleźć; na Sylcie miał takie poważanie, jak gdyby był przynajmniej admirałem całej floty.

Z wiekiem trochę ociężał, to prawda, ale się trzymał jeszcze krzepko i nie myślał przejść do inwalidów, choć mu kra rękę złamała łońskiego roku, kiedy to przeprawiał się po lodzie, Bóg raczy wiedzieć, który już raz w życiu, powracając ze Szlezwiku.

Licho nadało wtedy wczesną wiosnę i odwilż!...

Przeprawa po lodzie między Syltem a Szlezwikiem przez zamarznięty bród morski groziła niebezpieczeństwem, ale Taam się uparł; z Wulfem Bohnem i dwoma synami odbył tę drogę, tylko, że zamiast ośmiu, czternaście godzin musieli przełazić po lodowych górach, prześlizgiwać się twardszemi miejscami, przepływać przez szerokie nurty, gdzie było morze odsłonięte i popękana lodowa powłoka, a przed sobą sunąć łódź z pocztą i pakunkami, wyciągać ją z wody na lód, a z lodu spuszczać znów na wodę.

Nie była to dla nich pierwszyzna.

Parę razy w tygodniu przecież musieli się tak przeprawiać w ciągu zimy, gdy innej komunikacyi między wyspą a stałym lądem nie było. Mieli już praktykę w tem i wiedzieli, jak sobie radzić; ale z powrotem zdarzyła im się brzydka niespodzianka. Dął wiatr, słońce przygrzewało, kryształowe lodowce skrzyły się i świeciły, jak zielonkawe bryły szkła, tajało im pod nogami i chlupotała woda przy stąpaniu.

Dokoła nich, jak pustynia zasiana zwaliskami kier, rozciągało się odmarzające międzymorze, trzeszczały lody i zgrzytały, trąc się o siebie.

Miejscami po brzuchy musieli brodzić w wodzie i pracować, jak cyklopy, by łódź im nie uwięzła; wciągali ją właśnie z nadludzkim wysiłkiem na dużą kępę lodową, gdy nagle wionęło na nich coś, jak tchnienie szatanów, wiatr nimi zatrząsł i omal nie wrzucił dowody; trzask się rozległ, jakby rozpękło dno morskie, i poczuli, że grunt pod nimi się posuwa ku południu.

Łódź wyśliznęła się im z rąk, nie zdołali jej pochwycić; kra ruszyła i zaczęła ich nieść z początku powoli, potem coraz szybciej, potem w wolniejszych miejscach gnana wiatrem pędziła, jak parowiec.

Czterech ludzi na tej lodowej tratwie płynęło ku niechybnej zgubie, oddalając się coraz bardziej od lądu.

Taam usta zaciął i spochmurniał jeszcze bardziej, niż zwykle; patrzył przed siebie, jakby oko w oko mierzył się ze śmiercią i mówił do niej;

— A jednak mnie nie weźmiesz!...

Z prawej strony rozciągała się ich rodzinna wyspa, Sylt, jak zdechły węgorz, pływający na powierzchni wody, z lewej białe, ośnieżone wybrzeża Szlez-wiku.

Trafili na prąd, który ich niósł prosto na pełne morze. Ratunku nie było, chyba w cudzie i zmiłowaniu Bożem!...

Wulf się żegnał i mruczał modlitwę, dwaj młodsi Jenzenowie załamali ręce i oniemieli z przerażenia; Taam najspokojniej usiadł na lodzie, jak na pokładzie statku, i patrzył tylko przed siebie, czekając, czem się to skończy.

Płynęli tak pięć kwadransów, pięć długich wieków, między życiem a śmiercią...

Wreszcie w ostatniej chwili Bóg się nad nimi zlitował.

Minęli cypl wyspy i zaczęli się kołysać coraz silniej, fala morska bruzdziła się coraz bardziej; trudno im było utrzymać się na nogach, musieli się brzuchy położyć, aby nie spaść.

Jak foki na mieliznach, leżeli tak bez ruchu, skostniali od zimna i strachu, a nad sobą czuli śmierć, która leciała i zgrzytała zębami z lodu, i szeleściła skrzydłami z wiatru, i brząkała kosą, uśmiechając się szyderczo do swoich ofiar, schwyconych w pułapkę.

Taam jeden nie uląkł się jej, zacięty i zrezygnowany, jakby mówił:

— Ty śmierć, ja stary wilk morski!... spróbujemy się!

I zwyciężył przy łasce Bożej. Niesiona nurtem i pchana wiatrem, kra podskoczyła nagle, jak szalona; coś ją wzniosło w górę i rzuciło z taką siłą, że się rozbryzła w kawały, jak kruche szkło.

Trzy głosy jęknęły, czwarty syknął, jak zduszona gadzina; to był głos Taama. Leżał z twarzą wykrzywioną bólem i krwią zalany, ale żywy. Gdy oczy otworzył, zobaczył tylko Wulfa i starszego syna, wyciągniętych na lodzie; z młodszego ani śladu nie zostało. Spłynął pod wodę, przywalony krą.

Świeć Panie nad jego duszą!...

Całe szczęście, że ich trzech kra wyrzuciła na poszarpane lodowiska, tuż przy samym cyplu wyspy uczepione.

Na drugi dzień o świcie dopiero dowlekli się do Keitumu

po zaśnieżonych dunach, podobni do strachów więcej, niż do ludzi, skostniali, obmarzli, pokryci szronem i soplami lodu.

Taam ze złamaną ręką, Wulf z gorączką, młodszy Jenzen z posiwiałemi na skroniach włosami.

Ale żywi!...

Nie chciano im wierzyć, gdy opowiadali swe przygody; musieli się przysięgać na Boga i duszę, że mówią prawdę.

Podziwiano spokój Taama, który ust nie otwierał i z ręką na temblaku przez dwa miesiące siedział przy oknie w poręczowem krześle, prymkę żuł, w wypukłe szyby patrzył i dumał, jakby dopiero teraz rozważał wszystko, co przebył.

A gdy go pytali:

— Cóżeś ty myślał, stary, gdyś tak płynął na tym lodzie?.. nie bałeś się utonąć, jak ruda mysz?... —

Podnosił głowę, swoje stalowe, przenikliwe oczy wlepiał jakby z urazą w pytających i odpowiadał przeciągłem:

— Nieee!.... myślałem tylko, że gdy się nie zatrzymamy gdzie przy Sylcie, to trzeba będzie płynąć tak do Amrum albo Föhr, a to przecież dobry kawał drogi po morzu.

Ludzie się uśmiechali z tej ślepej wiary starego oryginała i wzruszali ramionami.

II.

W Tondern trzeci miesiąc leżał w szpitalu Ery Matthisen, syn latarnika z Westerlandu, dozorca „ptasiej budy,“ czyli wielkiej samołówki na dzikie kaczki, którą sobie wyspiarze urządzili na Sylcie, by gmina miała większe dochody.

Dwa były takie nęciska na ptactwo przelotne, co szybowało z południa na północ wiosną, a z powrotem w jesieni; po drodze sprytni ludzie urządzili mu zasadzkę.

Wybrali kawał gruntu na żuławach, blizko morza, zasadzili drzewami i krzaczkami, pokryli murawą, wykopali mały stawek, do którego krętym zygzakiem dopływała w kanale słodka woda; stawek i kanał ukryty w gąszczu zdala od ludzkich sadyb, wyglądał jak zielona oaza.

Od morza zakrywały go ławice piasku stuletnim wrzosem porosłego; wiatr nie zrywał tu czubów drzewkom, nie wyginał w kabłąk ich pni i gałęzi, nie zamieniał w karły, jak gdzieindziej na wyspie, ogołoconej z drzew zupełnie i pustej, pręgowanej tylko miejscami zieloną, rzadką trawą na pastwiskach lub płachtami wrzosu, co, jak strzyżony kobierzec perski, zaścielał żółte wydmy na wybrzeżach.

Po stawie pluskało się kwaczące stado swojskich kaczek i zdradzieckim głosem nawoływało chmary sióstr dzikich, ciągnących powietrznemi szlakami przez morze.

— Kwa, kwa, kwa!... płyńcie za nami!-dogadywały, zapraszając za sobą w kręty kanał, który się zwężał coraz bardziej i zaginał, a u końca którego stała budka drewniana, a w budce czatował Eryk Matthisen i szybkim ruchem chwytał naiwne cyranki i każdej głupiej kaczce dzikiej ukręcał odrazu łeb i rzucał po za siebie na kupę.

Tysiące w ten sposób co wiosna i jesień przypłacać musiały życiem swą łatwowierność, aby smakosze w Kielu i Hamburgu mieli świeżą dziczyznę, na swych stołach, a gmina Westerlandu dochody.

Eryk Matthisen był takim Herodem kaczym i żył z ukręcania łbów wędrownemu ptactwu.

Przyszła jednak kreska na Matyska; omal sam łba nie skręcił któregoś dnia, wyładowując rozbity statek na wybrzeżu pod samym Weningstätem. Skrzynia mu przydusiła piersi, że omal wszystkie żebra nie trzasły. Musiano go odwieźć do szpitala na stały ląd, aby się wylizał i pozrastał, a w domu na Sylcie została jego Sara z małą Ellen i dziesięcioletnim Dirkiem, który miał kiedyś ojca zastąpić w ptasiem nęcisku, o ileby nie wolał po dziadku zająć miejsca latarnika.

Trzy miesiące Eryk Matthisen przeleżał w szpitalu i tyle było pociechy, że codzień od zmroku do świtania mógł widzieć światełko migające, jak iskra wydmuchana z komina, które ojciec jego w latarni morskiej na cyplu wyspy od północnej strony zapalał.

Miał zatem coś, co go łączyło ze swoimi.

Iskierka przez oczy spadała w serce i cieplej się w niem robiło; rozświetlała mu się dusza co wieczór i widział w niej obrazy, jak magiczną latarnią rzucane aż przez morze z tych wydm piaszczystych, gdzie stał jego domek z malowanemi na niebiesko ramami okien, z rzeźbioną futryną nad drzwiami, z żelazną cyfrą jego pradziada i rokiem na szczytowej ścianie, pomalowanej na kolor zwietrzałej cegły.

Zupełnie taki sam domek, jaki sobie jego Dirk układał z kamyczków, które mu ojciec kupił do zabawy na zeszłoroczną gwiazdkę.

A w tym domku...

Eryk Matthisen, co łby tysiącom kaczek ukręcał w jesieni, nie należał do mazgajów, a jednak leżąc tak, na szpitalnem łóżku, albo w kaftanie i szlafmycy przechadzając się po sali i klepiąc pantoflami po podłodze, czuł, że na widok tego światełka w latarni i na wspomnienie swego domku, poczciwej Sary, złotowłosej Ellen i czupurnego Dirka, robiło mu się tak głupio, że sobie miejsca już znaleźć nie mógł i byłby tak, jak stał, w tych pantoflach z wojłoku, w tym kaftanie i szlafmycy włóczkowej, szedł przez morze, byle tylko do swoich już raz się dostać.

Tak mu się cniło, tak tęsknił, tak nudził, tak go ciągnęło coś, jak linami holowany statek, a tu doktorzy nie puszczali i mówili:

— Eryk Matthisen!... trzeba jeszcze czekać, a do sił trochę przyjdziesz. Przed świętami wypiszemy cię ze szpitala, ale aż na Jööla, nie wcześniej.

Marudy!... albo to on nie miał dosyć sił, albo nie był już mocny, że nie kaczkom, ale strusiom byłby łby urywał, gdyby mu tylko dali. Co oni tam wiedzieli!... Jemu do domu chciało się więcej, niż do nieba, bo w niebie było wszystko, tylko Sary, starego ojca i dzieci nie było.

Powiedział sobie, że jeśli go dobrowolnie nie wypuszczą z tego szpitala, w którym wszystko czuć było jodoforem i jakiemiś paskudztwami z apteki, to ucieknie sam i niech ich

wszyscy dyabli porwą!... Mają leczyć, to niech leczą prędzej, bo inaczej... bałwany!... foki morskie!... kraby przebrzydłe!

Klął już i wymyślał w duchu, choć na doktora patrzył z szacunkiem i jakąś bojaźnią.

A nużby go i na Jööla nie wypuścił?!... Nie na święta musiał być w domu.

— Do swoich!... do swoich! — jęczało mu coś w duszy, a po nocach wyło z tęsknoty, jak ten wicher przy latarni morskiej.

Kiedy go Taam z Wulfem przyszli odwiedzić w swych buciskach powyżej kolan, w naciągniętych na nie opończach z żaglowego płótna, nasyconego tłuszczem, w wełnianych kaftanach, futrzanych czapkach z foki i szalikach kolorowych, okręconych kilka razy dokoła szyi, kiedy mu podali na powitanie swoje grube, twarde, jakby łuską pokryte łapska, zgrabiałe od zimna, słonej wody i ciężkiej roboty, kiedy się do niego odezwali po fryzyjsku, zaczerwienił się i aż spotniał, takie to na nim zrobiło wrażenie.

Usiedli na łóżku, on na krzesełku i patrzyli na siebie, nie przemówiwszy długą chwilę ani słowa.

Nie potrzeba im tego było, aby się rozumieć.

— No, i cóż? — spytał wreszcie Wulf.

Matthisenowi wargi zadrżały, Ten Wulf miał głos dziwnie podobny do jego starego, taki sam szorstki, mrukliwy, nizki.

— A no nic! — westchnął.

I znów milczeli czas jakiś. Taam się rozglądał po

ścianach i po suficie, poruszając szczękami, jak wół, który przeżuwa; miał w zębach świeżą prymkę. Z kieszeni sterczały mu zawiniątka, pierniki, jabłka i wianuszek fig, które kupił dla wnuków:

— To i dobrze — mruknął znów Wulf po kilku minutach.

— W domu zdrowi? — odważył się spytać Eryk.

Taam głową tylko skinął i ręką zrobił gest, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Et, głupstwo!... co nie mają być zdrowi?...

— Kiedyż wracacie? — zagadnął znów rekonwalescent.

— Jutro, skoro świt!

— Jutro?... na samą Wilię?...

Posiedzieli jeszcze kilka minut i zaczęli ziewać; przykrzyło im się już w szpitalnych murach.

— No, a ty, Matthisen? ... — spytał nagle Wulf — hm?... zostajesz?... co?...

Matthisen aż drgnął.

— Zabrałbyś się z nami!... jak myślisz?... lód stoi, mróz niezły, na samą Wilię byłbyś w domu.No?... hm?... jak ci się zdaje?...

Wyszczerzył do niego swoje żołte, koszlawe, poczerniałe zęby w szerokim uśmiechu i rubasznie zaśpiewał piosnkę, którą fryzyjskie dzieci zachęcają się do zabawy:

Ene mene mel, krick, krack, krel,
Ehre mehre gute Freunde, pick, pack, weg!...

Matthisen milczał, tak go za gardło. coś ściskało; dławiły go łzy, w głowie miał taki chaos, jakby w niej morze szumiało i wszystkie poduszone przez niego kaczki kwakać zaczęły.

— Kto wie!... kto wie!... — wykrztusił zaledwie z siebie.

Taam się podniósł i wyciągnął chropowatą dłoń na pożegnanie.

— Do jutra! — zamruczał głuchym, ochrypłym głosem.

— Kto wie!... kto wie!... — szeptał Eryk Matthise — może do jutra!...

I rzucił okiem przez szyby, gdzie daleko na widnokręgu, jak czerwone ślepie, mrugało do niego w zapadającym zmroku światełko morskiej latarni.

— A jeśli będziesz miał co do domu, to przyślij „pod kotwicę“ — mówił na odchodnem Wulf Bohn.

Eryk Matthisen stał przy oknie nieporuszony i rozmyślał.

III.

Świtało zaledwie...

U przystani w Hoyer, odległej o pół godziny koleją żelazną od Tondem, kręciła się w szarym zmroku gromadka ludzi na wybrzeżu około pocztowej łodzi, tupiąc nogami i zacierając ręce.

Wiał mroźny wietrzyk od północy, furczały cicho

dygocząc, jakby od zimna, wiechy uschłych gałązek na żerdziach, pozatykanych od brzegu zygzakowatą linią, znacząc drogę najbezpieczniejszą po lodowej powłoce między stałym lądem a wyspą, która w dali ciemniejszym pasem szarzała, na widnokręgu.

Niebo od strony morza ku zachodowi miało brudny, zakurzony kolor starego żagla, zwieszającego się nad sino-białemi rozłogami nieprzejrzanej płaszczyzny, pokrytej ciemniejszemi plamami i porozrywanej w miejscach, gdzie głębszy nurt wody nie pozwolił zasklepić się lodowej skorupie.

Na tej białej, śnieżnej pustyni, jak skaliste złomy, piętrzyły się fantastycznych kształtów piramidy i zwaliska olbrzymich kryształów wodnych, które mróz poustawiał bez ładu, budując wspaniały pałac zimy.

Podczas przypływu morza, które szumiało i przewalało się u zachodnich brzegów wyspy, po wschodniej jej stronie, dwa razy w ciągu doby przez tę podziurawionną i popryskaną powłokę przelewały się z szelestem fale i zatapiały grunt; mróz je chwytał, ścinał i więził na powierzchni nowym pokładem lodu, formując kry i szkliste bryły, iskrzące się w słońcu i dźwięczące jakimś tajemniczym głosem lodowych posągów Memnona.

Między jednym a drugim przypływem po tym stężałym brodzie morskim był czas do przebycia drogi od Syltu na stały ląd Szlezwiku.

Zdarzały się tak ostre zimy, że po lodzie wyspiarze saniami mogli podróżować, znacząc gościniec na białych, zaśnieżonych płaszczyznach, falujących czasu lata szarą,

żółtą wodą, po której krążyły łodzie rybaków i statki parowe.

Z nadejściem mrozów ruch ustawał i tylko pocztowa barka pod strażą najtęższych zuchów i najdoświadczeńszych śmiałków prześlizgiwała się po lodach, przepływała przeręble i utrzymywała komunikacyę z odciętą od stałego lądu wyspą. Osiem do dziesięciu godzin trwała taka przeprawa w sprzyjających warunkach, a niekiedy i znacznie dłużej.

Trzeba było dużej siły, odwagi, wprawy i doświadczenia, aby tę służbę pełnić.

Stary Taam Jensen znał się na tem.

Stał właśnie przy łodzi i niby obojętnie oglądał jej burty, opukiwał dno, poprawiał złożone w niej worki z grubego płótna, opieczętowane starannie, z korespondencyą pocztową, przeliczał paczki i zawiniątka, pełne świątecznych sprawunków, wiktuałów i przeróżnych różności dla sylckich sąsiadów.

Dzień się zapowiadał mroźny, lecz pogodny.

Przed wieczorem powinni byli być z powrotem, jeśli jakie licho nie pobruździ; czekali tylko słońca, które już poranną zorzą różowiło niebo nad Szlezwikiem.

Coraz wyraźniej rysowały się kontury Syltu i z pomroki, rozpłyniętej na śniegu, występowały fantastyczne lodowce, nabierając wypukłości, jak gdyby kto z nich ściągał szare zasłony.

— Halo!... w drogę!... — dał nagle hasło stary Taam; cztery pary rąk uczepiły się burtów łodzi i odepchnęły ją od brzegu.

Rzeźwym, raźnym krokiem gromadka sylckich pocztarzy puściła się po lodzie; pod nogami ich skrzypiał śnieg, z ust buchała para, za nimi pełzał coraz dłuższy ślad, wyżłobiony dnem łodzi, a z obu stron odgnieciony buciskami.

Uszli tak parę staj, gdy nagle usłyszeli za sobą wołanie:

— Hej!... halo!... Taam, Wulf!... Boi!... to ja!.

Zatrzymali się; od brzegu zdążał ku nim ktoś, biegnąc z pośpiechem i machał rękoma.

Próbował rozpędzać się i ślizgać, ale mu nogi zarywały się w śnieg i potykały.

Wulf Bohn rękę przyłożył do oczu, bo mu źle było patrzeć pod słońce, czerwone, jak pomidor i rozżarzone, jak miedź topniejąca.

— Matthisen?!... do tysiąca dyabłów, Matthisen! — zawołał zdziwiony — to on!... poznaję go pochodzie. Halo!... halo!... Matthisen!... a nuże, zdzieraj nogi, chłopcze!... Sam tu, czekamy!... Bywaj, bywaj!...

Zezowaty Boi Rudersen skrzywił się niechętnie i mruknął:

— Potrzebny nam, jak piąte wiosło!...

— No, dlaczego? — spytali inni.

— Będzie się wlókł za nami, jak ogon. Szpitalny zdechlak!.. albo to dojdzie?...

— Co niema, dojść?.. widzisz przecie, jak śmiga pośniegu.

— To i cóż!... ustanie w pół drogi.

— Coby miał ustać!... Halo Matthisen!... nie żałuj nóg! wołali do niego Wulf i Krystyn Lorenzen, czwarty

towarzysz zachęcająco.

Uciekinier ze szpitala pędził, co sił, aby ich dopaść. Zziajany, zdyszany, dobiegł wreszcie i zaczął się ściskać z nimi z radości.

— A zkądżeś się tu wziął?.. jak się masz?.. zdrów jesteś?..

Nie mógł odrazu tchu złapać, lecz się przemógł i odpowiadał po chwili:

— A jestem!... widzicie, że jestem!... A co?.. prawda?... czmychnąłem ze szpitala, nie potrzebując ich łaski! Serwus Taam!... kontent jesteś, stary, że mnie masz?.. No, dalej, jazda!... pójdziemy razem, choćby do Północnego bieguna!

Czoło miał spotniałe, twarz czerwoną, oczy błyszczące, wydawał się rzeźki i zdrów, biło z niego zadowolenie i radość.

Taam spojrzał na „zdechlaka u badawczo i spytał:

— Siły masz?...

— Ho, ho!...

— Droga ciężka.

— To nic!... głupstwo!... ale na Jööla muszę być u swoich, choćbym miał na czworakach wlec się za wami. Byłbym się z łańcucha urwał, a nie dopiero ze szpitala uciekł. O, jak mi dobrze!... czuję się innym człowiekiem, jak mi Bóg miły!...

— Halo!... W drogę!... — zakomenderował Taam i ruszyli.

Boi Rudersen z pod oka patrzył na Eryka i krzywił się się po swojemu.

— Przechwala się! — myślał; — zobaczymy, czy da

nam radę.

Przyśpieszał umyślnie kroku i swe muskularne ramiona wytężał, by łódź popychać silniej.

Matthisen szedł obok nich i rozmawiał, Opowiadał im o swojej chorobie, o szpitalu, o tych kanaliach doktorach, którzy go umyślnie przetrzymywali tak długo, aby mu na złość zrobić, bo im wymyślał, że mu nie mogli szybciej tych żeber zreparować. Wielka rzecz, żebra zrosły się już dawno, trochę tam go jeszcze coś uwiera w prawym boku, ale to fraszka, to przejdzie. Niech tylko zobaczy swoją Sarę i niech go wysmaruje porządnie mrówczanym spirytusem, to będzie zdrów, jak wieloryb. On siebie zna!... każdy człowiek powinien znać swoją naturę, to i bez doktorów się wyleczy.

Mróz szczypał ich w policzki, wąsy i brody obielił szron, ale zahartowani zimna nie czuli.

Matthisen humoru nie tracił; zdawało mu się tylko, że idą za szybko i spieszą zanadto bez potrzeby.

— Cóżeś ty chciał, żebyśmy się wlekli, jak maruderzy! — ofuknął go Boi — przed przypływem musimy być po drugiej stronie, a dzień krótki. Kiedy się nie chcesz spieszyć, to trzeba było zostać w szlafmycy, pod piecem. Tam miałbyś czas, ślimaku!

Zaczęli sobie przymawiać i spierać się. Wulf się śmiał, Krystyn potakiwał Rudersenowi, za co mu się oberwało kilka „osłów“ i „baranów.“

Szli znów, przełażąc przez kupy nawianego śniegu i przeciągając łódź przez lodowce. Matthisen zdążał za nimi, ale milknął coraz częściej, stawiał nogi niebardzo pewnie i

potykał się, zupełnie, jakby wyszedł z wprawy w chodzeniu. Uczuwał zmęczenie, lecz się nie chciał przyznawać, nawet przed samym sobą.

— Matthisen, idziesz? — wołano na niego, nie odwracając się.

— Idę, idę!... — i przyśpieszał znów kroku.Coraz większy jednak przedział powstawał między nim a nimi; trudno mu był nadążyć. Boi się śmiał podrwiwał z niego.

Od śniegu bił rażący blask, czubki i kanty lodowców skrzyły się i świeciły, w kryształach ich słońce zapalało tęczowe błyski, od lądu wiał wiatr coraz dokuczliwszy...

Minęli tak połowę drogi.

— Matthisen, zdechlaku, idziesz? — odzywał się głos od łodzi, a z coraz dalszej odległości zadyszana leciała odpowiedź:

— Idę, idę!... nie bójcie się o mnie!... dogonię was.

Odległość ta jednak rosła z każdym kwadransem. Łódź na przedzie poruszała się, jak pająk po śniegu, a za nią, jak senna mucha, wlókł się człowiek, z głową opuszczoną, przygarbiony, szeroko, ciężko stawiając nogi i przystając co pewien czas. Nozdrza mu drżały, policzki — nabrały ceglastych rumieńców, pierś dyszała głęboko.

Podniósł oczy i spoglądał ku brzegom wyspy, na których czerniły się plamy porozrzucanych budynków, rysowały na tle nieba skrzydła wiatraka i daleko na cyplu sterczał okrąglak morskiej latami.

Ten widok dodawał mu sił.

— Do swoich!... do swoich!... — powtarzał sobie w duchu i szedł raźniej.

Śnieg zaczynał pruszyć; drobne, ostre, jak pyłki szkła, płatki śniegowe siekły go w twarz, wpadały przez otwarte usta, aż do gardła, i zostawiały jakiś posmak orzeźwiający. Miał pragnienie, które tym świeżym śniegiem gasił. Stary Taam niespokojnie obzierał się po za siebie; kazał zwalniać kroku, zatrzymywał towarzyszy z umysłu, nie zważając, że się niecierpliwią.

Tracili czas — a słońce zalazło już nad wyspę i świeciło im teraz w same oczy.

Zaczekali na Matthisena, aby się z nimi zrównał;doszedł milczący i zmęczony, słowa nie mówiąc.

— Cóż?... osłabłeś?.. — zagadnął go Wulf; — chwyć się burty, będzie ci lżej.

Taam Jensen podał mu manierkę z wódką i sam pociągnął.

Po kwadransie znów rozpoczęli pochód.

— Możebyś wsiadł do łodzi? — odezwał się Boi, łypiąc złośliwie zezowatem okiem ku Erykowi; — powieziemy cię, jak chore cielę. Nogi ci się plączą!...

— Nie potrzebuję twojej łaski! — odciął mu podrażniony tą przymówką — jeślim ja cielę, toś ty wół!

— A wół!... i do tego byk! na jednym rogu takich trzech, jak ty, zdechlaków jeszczebym udźwignął.

Taam ich zagłuszył, przerywając znów sprzeczkę.

— Psst!... psst!...

— Co tam psst!... niech nie udaje zucha, kiedy jest babą! — krzyknął Boi; — szpitalnik!... ścierwo!...

Matthisen łódź puścił i zamierzył się pięścią, ale Taam go za ramię w czas schwycił, nie pozwalając uderzyć.

— Boi! — wrzasnął gniewnie — gębę stulić, bydlaku!

Lorenzen się ujął za kolegą.

— Bo po co się jeszcze stawia ta zdychająca mewa!... Kto go prosił, żeby lazł za nami?... nie mógł czekać do wiosny?...

Matthisenowi szczęki się zacisnęły; duma w nim była obrażona, ale się powściągnął.

— Do swoich, do swoich! — ozwał się mu w sercu znów ten sam miękki głos i rozbroił jego gniew.Postanowił ścierpieć obelgę, dopóki do brzegu się niedostaną, ale ręce od burty odjął, aby nie ciężyć towarzyszom.

Spochmurniał i oczy z urazą odwracał od Krystyna i Boja którzy szydzili z jego słabości i upokarzali w nim dumę Fryzyjczyka.

Zimno mu dokuczało, mróz przybierał.

Tamci łódź zatrzymali, aby wypocząć i posilić się trochę; w kółko, gryząc chleb z serem, dreptali po śniegu, tupali nogami po lodzie i tłukli się pięściami po plecach jeden drugiego, dla rozgrzewki.

Słońce z platynowego robiło się coraz złocistsze i zniżało ku ziemi; miało się ku zachodowi. Długi przeciągły brzeg Syltu wydawał się tuż, blizko, o kilka staj odległy, ale to było tylko złudzenie.

— Ten dławiszy ja zaledwie na przyszły tydzień przywlecze się za nami! — zauważył Boi Rudersen, robiąc złośliwą aluzyę do zajęcia strażnika „ptasiej budy,“ który pozostawał za nimi ciągle w tyle, jak maruder.

— No, jeśli nie pośpieszy, to się napije słonej wody na Wilię — dorzucił Krystyn — za dwie godziny przypływ!...

— Przyjdzie wpław, przecież to zuch i naszej łaski nie potrzebuje! — zaśmiał się pierwszy, z pogardą spoglądając w stronę Matthisena.

I puścili się znów ku wyspie, gorejącej w słońcu zachodzącem za duży wiatrak, który stał na wyniosłości, jak czarny upiór z rozkrzyżowanemi rękoma nad lodowatą pustynią i zdawał się rzucać jakieś tajemnicze zaklęcia na tę białą płaszczyznę, zasianą krami, w złotych i niebieskawych kolorach skąpanemi.

Uroczy, groźny, lecz wspaniały był teraz krajobraz.

Eryk Matthisen, pomimo całego znużenia, z zachwytem wodził okiem dokoła siebie i myślał:

— Jednak ten świat jest piękny!... warto żyć na nim.

Ale nagle posmutniał bardzo, bo mu przemknęło przez głowę:

— A kto wie, czy wieczora dożyję!... kto wie, jaki mi los przeznaczony?...

I przyszła mu myśl straszna, że mógłby w drodze paść i wśród tych lodów zamarznąć, że jeśli przed zapadnięciem zmroku nie zdąży do brzegu, to go zaskoczy przypływ morza i odetnie raz na zawsze od stałego lądu. Dreszcz go przeniknął aż do szpiku.Chciał krzyknąć, wołać ratunku, pomocy, ale się zawstydził nowych szyderstw Boja i Krystyna.

Zdawało mu się, że oni naumyślnie coraz prędzej od niego się oddalają, że go chcą oddać na pastwę zimy, nocy i morza, że się nad nim znęcają, nad jego osłabieniem, że uciekają przed nim, Za każdym lodowcem, pod każdą krą, wystającą ostremi kantami ze śniegu, przywidywała mu się

teraz czyhająca śmierć, która z nim zacznie grać w „ślepą babkę“ i upędzać się za nim, aż go schwyci, powali i zdusi.

O Jezu!... miałby tak zginąć marnie na tem pustkowiu, teraz, dziś właśnie, w sam wieczór wigilijny, kiedy się wybrał na Jööla do swoich, kiedy go duszna tęsknota wyciągnęła ze szpitala i kiedy tak bardzo, tak gorąco pragnął uścisnąć swoją Sarę, zobaczyć swego Dirka i Ellen, i starego ojca?!...

Zrobiło mu się zimno i gorąco wzdłuż kości pacierzowej; przez chwilę zapomniał o znużeniu, o tem, że się przerachował ze swojemi siłami, popchnęło go coś, podniosło i pomknął kilkadziesiąt kroków pędem, ale utknął i niemal na kolana padł, tak mu nogi odrazu zesztywniały.

Jakto, nie miałby dowlec się do swoich na Wilię, nie miałby usłyszeć małego Dirka, gdy dziecięcym głosem przy choince śpiewać będzie:

Kindken Jesus! bring mi wat
Oen mit Fat;
Da well ich uk flütig to Skuul gung
En lüre wat!...[1]

To niepodobna!.. Dzieciątko Jezus do tego nic dopuści i nie pozostawi go tak samego na tem lodowatem morzu, musi się zlitować nad nim, musi przyjść i podać mu rękę i wyprowadzić go po tych zamarzniętych falach.

— Kindken Jesus, Kindken Jesus! — wzdychał — i próbował modlić się, jak mały Dirk, klęczący u kolan matki co wieczór.

Nagle usłyszał głos:

— He, halo!... Matthisen!...

— Idę! — wyrwało mu się instynktownie z ust, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Spojrzał przed siebie i dojrzał starego Taama, który szedł ku niemu, nawróciwszy z drogi.

Reszta samotrzeć z łodzią spieszyła dalej ku wybrzeżu; pilno im było.

— Cóżeś ty utknął, jak stara kotwica? — wołał na niego Taam Jensen; — a pójdź-że, niedołęgo!

Głos go ten oprzytomnił; poruszył się z miejsca i szedł mu naprzeciw. Gdy się spotkali, Taam pochmurnem okiem w twarz mu spojrzał.

— Osłabłeś?

— Tak.

Hm!... to źle!... nie przypuszczałem, żeś taki marny.Chodź, podeprę cię!... we dwóch prędzej cię!...we dwóch prędzej zajdziemy

Objął go w pasie, ręką kazał się uczepić za szyję i prowadził.

— A co?.. lżej ci teraz? — mruknął.

— Bóg wam zapłać, stary!... Bóg zapłać! — szeptał Matthisen.

— Bóg!... Bóg! — powtarzał Taam ponuro, szorstko, z

niechęcią — Bóg cię nie weźmie na plecy, jak ja. Człowiek silny sam sobie poradzi, a słabemu to i dyabeł nie pomoże.

— Dajcie pokój, Taam; nie bluźnijcie! to grzech.

— Ee!... kazanie zostaw pastorowi, a sam nogi zbieraj, co możesz, bo nie zdążymy.

Swojem żylastem ramieniem trzymał go, jak obręczą i wiódł.

Nogi się im ślizgały, śnieg pod podeszwy nabijał, wiatr W plecy dął.

Taam Jenzen klął pod nosem, Matthisen upominał:

— Dajcie pokój, stary!... Dzieciątko usłyszy.

— To i cóż?..

— To przecież Wigilia dziś!...

— To i cóż?..

Mruczał zły, markotny, opryskliwy, ale towarzysza podpierał, jak dziecko, i przyciskał do siebie, jakby go unosił nad ziemią.

Mrok już zapadał, szarzało na niebie, w powietrzu gwizdało coś i brzęczało, mewy krążyły jeszcze za żerem, wieczór się robił szybko, zimowy, mroźny wieczór.

Na brzegu wyspy zaczęły wyskakiwać iskierki;światła przez kwadratowe szyby było widać w oknach domów. Pies jakiś wył daleko...

Na niebie księżyc blady, przezroczysty, jak pieczątka z opłatka, wyrzynał się z tła szafirowego,

Byli już blizko lądu; pół godziny drogi najwięcej mieli przed sobą, ale Taam poczuł, że mu Matthisen zwisa coraz bardziej i że go prawie wlec musi.

Przystanął, odetchnął głęboko, rzemień w pasie zacieśnił

i patrzył przed siebie, jakby z namysłem;rzucił okiem na swego towarzysza i splunął.

Eryk Matthisen, miał powieki spuszczone, usta otwarte, twarz dziwnie bladą i sine pręgi pod oczyma; zdawało się, że śpi i jest nieprzytomny.

— Matthisen, bałwanie! — wrzasnął mu szorstko nad uchem Taam — co ty robisz?.. chcesz, żeby nas obu dyabli wzięli?.. Chwytaj się mnie za kark!... no, żywo!... wezmę cię na barana i poniosę!...

Przykucnął na lodzie, sam sobie założył jego ręce na szyje; objął go za nogi i dźwignął w górę, jak worek zboża.

— Tak!... teraz pójdzie lepiej! — burknął do siebie i zaczął iść z ciężarem swoim na plecach.

Nogi mu grzęzły w śniegu, ale szedł prosto, wybierając miejsca nie zawalone krami i łatwiejsze do przeprawy.

— Psy!... kanalie!... chorobaby ich zjadła! — mruczał, myśląc o towarzyszach, którzy byli już daleko i troszczyli się tylko siebie.

— Nie klnijcie, Taam, nie klnijcie! — prosił go słabym głosem Matthisen — Dzieciątko... Dzieciątko usłyszy!...

Stary stękał, sapał, spluwał, ale szedł wytrwale, starając się odzyskać stracony czas.

Oczyma tylko niespokojnie rzucał na prawo i na lewo... Po ziemi pełzały jakieś czarne, poziome plamy i szedł od nich wilgotny zapach morszczyzny, słychać było chlupotanie wody i niby szelest jedwabiu.

— Masz tobie!... przypływ!... — szepnął stary i kroku przyśpieszył.

Przez dziupła, szczeliny i przeręble w lodzie

wydobywała się woda i rozlewała z szumem po śniegu.

Matthisen drgnął, pochylił się naprzód, otworzył szeroko oczy i z przestrachem śmiertelnym powtórzył:

— Przypływ!...

Taam przystanął — pod nogami miał coś grzązkiego, jak kałuża; grunt stawał się bardziej oślizgły, miększy i zimniejszy.

Namyślał się chwilę i skręcił w prawo, ale nogi mu grzęzły za każdym krokiem. w wilgotnym śniegu; trzeba było iść w bród po kolana, aby się przedostać znów do twardszego gruntu.

Żywy ciężar ugniatał mu już barki pochylone, stękał i klął, ale jeszcze szedł:

Byli od lądu tak niedaleko, że mogli rozeznać stojące na brzegu postacie ludzkie.

— Złaź! — zakomenderował nagle Taam Jensen, zdaje mi się, zmyliłem drogę. Pójdę poszukać bezpieczniejszego przejścia... Czekaj tu na mnie!

— Ale wrócicie, Taam? — lękliwie spytał Matthisen i przemknęło mu przez głowę, że stary, chcąc siebie ratować, opuszcza go, aby się prędzej wydostać na ląd. Groza położenia przejęła go śmiertelnym dreszczem...

Instynkt zachowawczy obudził się w nim; zatrzymał się chwilę i zaczął za Taamem iść na przełaj po lodach, śledząc pilnie w zmroku wszystkie poruszenia swojego poprzednika,

Stary wyga ostrożnie, powoli, z wyciągniętą szyją, szedł dużemi krokami, jakby się skradał i wymknąć próbował niebezpieczeństwu, które zdawało się nieuchronnem;

wytężonym wzrokiem wodził po powierzchni lodu i wybierał miejsca jeszcze przypływem morza nie zalane.

Nagle... znikł z oczu Eryka Matthisena: zapadł się, jak cień, i tylko w miejscu, gdzie stał przed chwilą, zaskrzypiała pęknięta kra i zabulgotała woda.

Potem nastała cisza... straszna, przeraźliwa cisza śmierci.

Matthisen stanął, jak wryty, z przerażenia.

— Taam!... Taam!... — wyrwało mu się z ust zgłuszonym głosem rozpaczy.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Zdalęka tylko chlupotanie wody, przelewającej się po lodach, pryskanie śniegu i szelest fal zimnych, czarnych, rozłażących się po powierzchni coraz szerszemi kręgami, przerywały złowrogą ciszę zimowego wieczoru...

. . . . . .

Wiatr się ułożył, niebo roziskrzyło, księżyc zdawał się zbliżać ku ziemi i wybielał, jak srebrny medal, wyrzucony świeżo z pod stempla.

Śniegi nabrały jakiejś kredowej białości, a na rozłogach lodowej skorupy, co pokrywała bród morski między dwoma lądami, ciemne fale przypływu migotały teraz stalowemi błyski, zlewały się z sobą i poruszały tajemniczo, jak rojowisko posrebrzanych płazów.

Od wyspy szły echa ludzkich głosów, nabrzmiałych w radosnej pieśni o „Dzieciątku Jezus“ i rozkołysany dzwon śpiewał z niemi do wtóru, jakby wołał nad ziemią i morzem: *Gloria, Gloria in excelsis Deo!*...

Rozróżnić można było cieńkie głosy kobiet i dzieci, chociaż śpiew płynął z daleka.

Przy domku strażnika na pomoście wystającym ku przystani statków, które latem zawijały tu w małą zatokę Westerlandu, stała gromadka ludzi, złożona z trzech mężczyzn i jednej kobiety.

Zwróceni byli ku morzu i zdawali się upatrywać czegoś pilnie, z niepokojem i niecierpliwością.

— Nie widać ich? — dopytywała się kobieta głosem od wzruszenia drżącym i rzewnym od łez, które jej wzrok przysłaniały.

— Cicho, cicho, Sara! — upominał ją najstarszy z mężczyzn — zostaw to Bogu! co ma być, to i będzie.

Kobieta ręce rozpaczliwie załamywała nad głową i szlochała:

— Jakżeście mieli sumienie zostawić ich tak samych na lodzie?!... oddaliście ich na śmierć, na zgubę, odpowiecie za to na Sądzie ostatecznym!...

— Cicho, cicho, cicho, kobieto!... Co komu sądzone, to go nie ominie — odpowiadał jej ten sam nizki, chrypliwy głos z rezygnacyą i spokojem.

Dwaj inni stali w milczeniu i rozglądali się tylko na prawo i na lewo; wreszcie jeden wyciągnął nagle ramię i ręką wskazał przed siebie, w bok. gdzie na lśniącej od białości płaszczyźnie śniegu poruszała się jakaś czarna plama. Drugi wytężył wzrok i szepnął:

— Wulf!... spojrzyj!... coś się tam gramoli na czworakach, niby pies, niby człowiek.

Wulf Bohn oczy zmrużył i bystrzej popatrzył we

wskazanym kierunku.

— Nie pies!... to chyba jeden z nich.

Kobieta drgnęła i uczepiła się jego ramienia.

— Gdzie?.. gdzie?.. pokażcie, na miłość Boską!

— Na lewo... tam, gdzie te kry sterczą, jak zęby trzonowe!... tak, nic innego, tylko człowiek!

— Człowiek!... teraz go rozpoznaję... zatrzymał się, leży na kolanach... o!... o!.. czoło sobie ociera, ręce podnosi do nieba, jakby Boga przyzywał na ratunek!

— Ale dlaczego jeden?.. a gdzie drugi?... nie widać nigdzie drugiego.

— Któryż z nich?.. Taam Jensen, czy Eryk Matthisen?..

— Któryż?.. któryż? — ze łzami i rozpaczą nie pewności zwracała się kobieta po kolei od jednego do drugiego, jakby błagając, by jej prawdę wyznali.

Oczy jej mgła zasłaniała, nie mogła sama dojrzeć...

Po zaśnieżonej skorupie lodów czołgał się człowiek i z przerażeniem spoglądał przed siebie, wyczerpany, bezprzytomny prawie, jęcząc żałosnym szeptem:

— Kindken Jesus!... Kindken Jesus!...

Zdala dochodził go śpiew i odgłos dzwonu od wyspy; przed sobą widział chlupoczące fale, które mu coraz bardziej drogę przecinały od lądu i jakby siecią starały się go zagarnąć.

Powoli, ostrożnie, czając się, pełzali ku sobie:morze i człowiek, śmierć i ofiara...

Z szelestu wody zdało się szeptać groźne hasło:

— Śmierć!... — a z sinych ust człowieka szedł odzew:

— Kindken Jesus!...

I stały tak naprzeciw siebie dwie potęgi, materyalna i duchowa, żywioł zniszczenia i wiara w Opatrzność...

Na śniegu klęczał człowiek, z rękoma opuszczonemi, z oczyma wzniesionemi błagalnie w niebo, roziskrzone gwiazdami, z duszą pełną smutku i przerażenia, zdając się na łaskę i niełaskę Bożego Dzieciątka, na którego cześć śpiewały w dali głosy ludzi i dzwonu psalm wigilijny.

Nagle zdało mu się, że z tego nieba usłyszał wołanie:

— Halo!... Halo!...

W mętnych falach brodu sunęła wolno, ciężko, ale coraz bliżej, torując sobie drogę między lodami, łódź... Trzy pary rąk poruszały wiosła, przy sterze siedziała kobieta.

Eryk Matthisen był uratowany.

---

1. ↑ Fryzyjskie dzieci mają zwyczaj w wieczór wigilijny Bożego Narodzenia wystawiać za okno talerz głęboki, aby przelatujące Dzieciątko Jezus składało na nim „gwiazdkę;“ śpiewają przytem kolendę:

   Dzieciątko Jezus daj mi co,
   Na talerz mi podarki złóż,
   Ja za to zwiększę pilność mą,
   I będę lepszym uczniem już.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie .*

SPRAWA HONOROWA.

(Z OPOWIADAŃ SEKUNDANTA).

P A N I

Zofii Abgarowiczowej

poświęca

Autor.

Godzina w pół do dwunastej w nocy i ktoś dzwoni... no no! — pomyślałem zdziwiony, wstając z przed biurka, przy którem pisałem właśnie jakiś fejleton bardzo wiosenny do sobotniego numeru.

Nie lubię takich niespodzianek o tak późnej godzinie, bo nie przynoszą one nic dobrego.

Albo depesza, albo coś gorszego; do depesz mam idyosynkrazyę, odkąd mi raz przyniosły wiadomość o śmierci bardzo drogiej mi osoby, a drugi raz o spaleniu się dworu i obory, której nigdy w życiu nie posiadałem, a którą

to niespodziankę przez pomyłkę w adresie przysłano do mnie, zamiast do kogo innego.

Komu u licha chce się burzyć mój spokój do mowy o nocnej porze? .. Przez chwilę przeszło mi przez głowę, czy nie lepiej by było wziąć kapelusz i okrywkę i cichaczem wynieść się drugiemi drzwiami od kuchni, unikając spotkania z nieproszonymi gośćmi.

Wziąłem jednak na odwagę i poszedłem przezornie spytać:

— Kto tam?..

Piskliwy głos Antka odpowiedział z po za zamkniętych drzwi:

— *Pszę* pana redaktora, z drukarni!

Rozjaśniło mi się oblicze; poznałem dyszkant naszego umorusanego Ganimeda do posyłek redakcyjnych, który słynął z chyżości nóg i łobuzowskich figlów, wyprawianych po drodze, zarówno jak i z fizygnomii straszydła na wróble.

— Czegóż ty pośmieciuchu chcesz odemnie takpóźno? — spytałem, otwierając mu drzwi i wpuszczając zadyszanego chłopca do przedpokoju.

— Pan Dryziewicz przysłał mię z listem — odpowiedział, szczerząc swoje koszlawe, żółte zęby w uśmiechu młodego satyra — kazał mi nogi połamać, ale lecieć, jakby się paliło!...

— No, i połamałeś nogi?

— Nie, ale *pszę* pana redaktora, pan Dryziewicz w pysk dostał!

— Co takiego! — wrzasnąłem na chłopca, że się aż pod ścianę cofnął przestraszony i zmiarkowawszy, iż był nie

bardzo wybrednym w doborze wyrazów, przy udzielaniu mi w pośpiechu tak sensacyjnej wiadomości, zaczął się poprawiać:

— To jest... pana Dryziewicza spotkała dyfamacya, p*szę* pana redaktora, bo to *pszę* pana redaktora, zrobiła się awantura; pana Dryziewicza u nas w bramie napadło jakichś dwóch gałganów i *pszę* pana redaktora, jeden go tak zamalował, że się aż nogami nakrył!... A potem sobie obaj poszli, a pan Dryziewicz wodę sobie przykłada, bo mu spuchło!... Jak Pana Boga kocham, *pszę* pana redaktora, sprawiedliwie mówię, *pszę* pana redaktora.

Nie słuchałem już dalszej jego relacyi, bo mi spieszno było dowiedzieć się prawdy; wszedłem do gabinetu odczytać przy lampie list, który był napisany na jakimś wydartym świstku ołówkiem w tych kilku słowach:

„Mój kochany! miałem przed chwilą straszną awanturę. Przyjeżdżaj natychmiast do redakcyi, musimy się naradzić.“

Dryziewicz był moim kolegą redakcyjnym i wydawcą pisma, w którem pracowałem od lat kilku.

Oniemiałem formalnie, otrzymawszy taką wiadomość, której nie mogłem sobie wytłómaczyć, a która musiała jednak być faktem, potwierdzona szczegółami Antka, opowiadającego mi po raz trzeci w jednych i tych samych słowach o „dyfamacyi“ pana Dryziewicza i o napaści dwóch gałganów na niego, i o policzku, który go pozbawił równowagi.

Było coś dziwnie tragikomicznego w sposobie opowiadania tego redakcyjnego smolucha i istocie samego wypadku.

Nie miałem wątpliwości, że stała się rzecz skandaliczna, która gruchnie jutro po całem mieście, urośnie jak lawina i przybierze potworne rozmiary, a choćby się rozeszła w najskromniejszej formie, to i tak wywołać musi publiczne zgorszenie i rzuci brzydką plamę na dziennikarstwo, a w szczególności na pismo, którego Dryziewicz był kierownikiem i wydawcą.

Wyzyskają to zaraz złośliwi i niechętni, rozwałkują, opieprzą, osolą, podleją octem siedmiu złodzei i częstować tem będą opinię publiczną przez parę tygodni, ciesząc się, że mogą prasie „pikę wsadzić.“

Na solidarność, na dyskrecyę, na współczucie i oburzenie nie było co liczyć.

U nas już tak!... gawiedź nie rozumuje, prawo pięści imponuje jej prawie zawsze, ten, co szarpie — zuch, ten, co bywa szarpany — bcstya, którą można kudłać dowolnie i bezkarnie.

Dobrze mu tak!... zasłużył na to.

Kto komu więcej zębów wybije, ten ma racyę na razie, a zanim rozsądek głos zabierze, „na pochyłe drzewo kozy skaczą.“

Wsiadłem do dorożki, zapomniawszy nawet w pośpiechu i roztargnieniu zabrać Antka ze sobą, i pojechałem do redakcyi.

Chłopak jednak nic sobie z tego nie robił; puścił się z koniem na wyścigi i Bóg wie, jakim sposobem krótszą drogą wyprzedził moją „dryndę,“ stając wcześniej przedemną u mety, bo go zastałem już na miejscu, zziajanego, czerwonego, jak pomidor, ocierającego sobie

spoconą twarz czapką i szarpiącego zawzięcie dzwonek u bramy.

— A *pszę* pana redaktora, ja pierwszy! — pochwalił mi się z tryumfującą miną, zaledwie mogąc dech złapać i błyskając pogardliwie oczyma w stronę dorożkarza, któremu z łobuzowskim uśmiechem rzucił czysto warszawskie szyderstwo; — Uu!... sałata!...

Dryziewicza zastałem przy biurku w jego gabinecie redakcyjnym, pochmurnego, zgnębionego doznaną obelgą, ale spokojnego z już jakąś rezygnacyą człowieka, który wobec„dokonanych faktów“ stara się utrzymać równowagę, rozmyślając nad dalszemi ich następstwami.

— Siadaj! rzekł mi, nie odejmując chustki od twarzy i poszedł drzwi zamknąć, aby nam zabezpieczyć sam-na-sam w tej drażliwej sytuacyi.

Potem zajął znów powoli swoje miejsce przy biurku i unikając widocznie mego spojrzenia, zaczął głuchym, nieco zniżonym głosem:

— Zrobiono na mnie zasadzkę... Dziś wieczorem, kiedym wracał do redakcyi z teatru, napadło mnie dwóch ludzi w bramie przy wejściu na podwórze; tam, jak wiesz, jest ciemno, nie mogłem się na razie zoryentować i ustrzedz. Jeden mnie schwycił nagle za ramiona, a drugi przyskoczył i...

Urwał, bo mu za ciężko — było dopowiedzieć reszty, a mnie nie wypadało okazać się zanadto domyślnym.

Po chwili milczenia, mówił dalej:

— Zostałem uderzony nagle i niespodzianie tak, że na razie straciłem przytomność; usłyszałem tylko wyrazy: „To

masz za wyrodne dzieci!...“ Po ciemku trudno mi było rozpoznać twarzy obu napastników, w bramie był tylko zaspany stróż, na podwórzu ani żywej duszy, sam nie mogłem przytrzymać dwóch ludzi silniejszych odemnie, którzy zdołali umknąć tymczasem i padłem ofiarą przemocy.

Wzburzony byłem do głębi tem spokojnem opowiadaniem, musiało ono jednak Dryziewicza dużo kosztować, bo silił się widocznie na panowanie nad sobą i utrzymanie sztucznej równowagi.

Znałem go, jako człowieka silnej woli i trzeźwego umysłu, który umiał w najbardziej ryzykownych chwilach zachować zadziwiająco zimną krew i nie należał wcale do nerwowych „dzieci wieku,“ co mu na jego stanowisku bardzo często wielkie oddawało przysługi.

— Cóż to byli za jedni?.. co za powód takiej brutalnej napaści?.. domyślasz się przynajmniej, o co im poszło? — spytałem rozgorączkowany i przejęty tym wypadkiem kolegi.

Dryziewicz westchnął ciężko i pokiwał głową.

— Nie mam żadnej wątpliwości co do osób odrzekł po chwili. — We wczorajszym numerze zamieściłem wiadomość pod nagłówkiem: „Wyrodne dzieci;“ musiałeś czytać?...

— Ach, o tym ojcu, któremu synowie pozwalają żebrać przy drodze, odmawiając mu łyżki strawy i kąta we własnym domu? — zawołałem, przypomniawszy sobie sensacyjny altykulik, w którym opisana była historya jakichś obywateli podmiejskich za rogatkami, bez

wymienienia nazwisk, ale piętnująca stosunki rodzinne ludzi, pozbawionych uczucia szacunku i miłości dla ojca i grzeszących tak ciężko przeciw czwartemu przykazaniu.

Artykulik był krótki, reporterskim stylem napisany, ograniczający się do przedstawienia samego faktu, ale musiał wywołać oburzenie w czytelnikach tak samo, jak we mnie, który na cały głos zawołałem po odczytaniu go przy rannej kawie:

— A to kanalie!... to wyrodki!...

Nie przyszło mi nawet do głowy wówczas, aby tych kilkanaście wierszy druku mogło pociągnąć za sobą tak skandaliczne następstwa.

— Więc ty przypuszczasz, że to z powodu tego artykułu? — zagadnąłem Dryziewicza,

— Nie przypuszczam, ale jestem pewny — odparł — przecież mi wyraźnie zapowiedział przed uderzeniem, o co mu chodzi.

— I cóż to za ludzie?... kto to taki?..

— Czy ja wiem!... artykuł przyniósł mi Lubczyński i zapewniał, że sprawdził fakt na własne oczy; utrzymuje, że dał staremu nawet jałmużnę, a ten mu opowiedział osobiście całą historyę. Nie mogłem pominąć takiego gorszącego faktu, uważałem, iż należy skarcić winnych publicznie. To jest przecież obowiązkiem dziennika!...

— Tak, niezaprzeczenie — ale to był wypadek zanadto drażliwy — wtrąciłem; — wiesz, że Lubczyński lubi czasem przesadzać. Jego wiadomości nie zawsze bywają wiarogodne.

— Nie podałem też żadnych nazwisk, ani bliższych

wskazówek. A zresztą, trudno mi osobiście sprawdzać każdą reporterską wiadomość!...

— Hm!...w każdym razie paskudna sprawą.

— A, paskudna.

— Kto wie, czy cię Lubczyński nie wpakował w jakie błoto!

— A licho go wie!... może.

— Poślij że zaraz po niego.

— Już posłałem.

Zapalilem papierosa i zacząłem chodzić po gabinecie, bo mi trudno było usiedzieć na miejscu.

Ten Lubczyński zepsuł mi humor jeszcze bardziej; znałem go jako ruchliwego reportera, który sypał wiadomościami codziennie, jak z rękawa, ale gdy ich w rękawie zabrakło, gotów był wyciągać z cholewy, z za paznogcią, z powietrza, zkądbądź, byle pewną liczbę wierszy dostarczyć pismom, które obsługiwał, jako Figaro opinii publicznej.

Trzeba było być z nim ostrożnym i przez przezorność nie dowierzać mu zawsze, choć odrobinę, jak każdemu reporterowi, a zwłaszcza takiemu, który goni za sensacyą i musi codziennie mieć w zapasie choć pół tuzina wiadomości z „bieżącej chwili.“

Dryziewicz wziął pióro, oddarł pasek papieru i zaczął coś pisać.

— Cóż ty tam smarujesz? spytałem go, zaglądając mu przez ramię.

— Wiadomość do jutrzejszego numeru o napadzie na mnie — odrzekł spokojnie, zupełnie naturalnym tonem, jak

gdyby mówił o trzeciej osobie, którą go w tej chwili nic a nic nie obchodziła.

— Jakto?... chcesz opisać swoją własną awanturę? — zawołałem zdziwiony tą objektownością redaktora, uważającego sobie za obowiązek powiadamiać czytelników najsumiejnniej o wszystkich wypadkach dnia poprzedniego.

Nie przerywając ani na chwilę pisania, odpowiedział mi:

— A rozumie się!... najpierw dlatego, iż to jest faktem, którego nie można pominąć milczeniem, a po wtóre dlatego, iż wolę, abym ja sam objaśnił moich czytelników o wypadku, aniżeli moi najserdeczniejsi, którzy skorzystają ze sposobności, by rzecz przedstawić w fałszywem i bardziej jaskrawem świetle. Widzisz, to koniec kwartału, więc taka gratka przydałaby się bardzo moim współzawodnikom! Muszę im szyki pomieszać i wyprzedzić ich w tym kierunku. Mogłaby mi była tak samo dzisiaj spaść dachówka na głowę, albo podłoga runąć podemną, jak mi spadła ta cała awantura na kark. My, dziennikarze, na wszystko powinniśmy być przygotowani i w żadnej sytuacyi nie tracić przytomności.

Skończył artykuł, zadzwonił na chłopca i odesłał do zecerni.

Nie dał sobie wyperswadować, że możeby lepiej było wstrzymać się jeszcze z tą wiadomością, dopóki się sprawa jakoś nie wyjaśni i nie weźmie zdecydowanego obrotu.

— Bo cóż ty dalej myślisz robić? — rzuciłem mu nagle zapytanie.

— Ha, no cóż? — procesować się z nim przecież nie będę, bo w danych warunkach mam za mało widoków

satysfakcyi, Będę się z nim bił; i właśnie chciałem cię prosić, abyś jutro rano pojechał go wyzwać w mojem imieniu. Będziemy się strzelali!...

— Strzelali?...

— Na najostrzejszych warunkach: dziesięć kroków, z mety na komendę z nieograniczoną wymianą kul. Tego nie mogę przecież puścić płazem tak lekko.

Mówił to tak spokojnie, stanowczo, głosem powolnym, jakby mi dawał dyspozycye, do zamówienia na jutro obiadu.

— Mam nadzieję, że mi nie odmówisz tej koleżeńskiej przysługi — dodał tu chodzi nietylko o mój osobisty honor, ale i o godność prasy, do której obaj należymy.

Nie było przecież na to dwóch odpowiedzi; podałem mu rękę na zgodę i spytałem:

— Któż będzie drugim świadkiem?

— Admirał; on do tego jedyny, ma praktykę i poprowadzi wszystko, jak należy. Napisałem już do niego jednocześnie z listem do ciebie. Prosiłem go, iżby cię jutro o dziewiątej odwiedził i postarał się o pistolety.

Admirałem był jeden z naszych starszych kolegów, poczciwy Pukalski, setny chłop do wypitki i do wybitki, do tańca i różańca, gotowy dla każdej dobrej sprawy pójść w ogień i rąbać się za siebie i za wszystkich przy nadarzonej okazyi, byle honor był ocalony.

Przezwaliśmy go Admirałem, bo miał pretensyę znać się na marynarce lepiej od Nelsona, Tegetthofa i wszystkich dawniejszych i współczesnych dowódców floty, choć nigdy w życiu nie był na pełnem morzu i nie widział nawet żadnej

większej eskadry.Marzył o tem, żeby zostać kapitanem okrętu i wziąć choć raz udział w jakiej bitwie morskiej, a wtedy pokazałby światu, co potrafi.

Miał małego „kręćka “ na tym punkcie, choć człowiekiem był wykształconym, wytrawnym dziennikarzem i jednym z najmilszych towarzyszy w przyjacielskiem kółku.

Pozwolił nam nawet żartować z tej swojej słabostki, której nikt z nas nie brał na seryo, a do której z czasem przymieszało się trochę niewinnej fanfaronady.

Trudno, najrozumniejszy człowiek musi nosić w sobie jakieś głupstewko, z którem mu niekiedy bywa nawet do twarzy, jak ładnej kobiecie z pieprzykiem przy ustach.

Admirał we wszystkch sprawach „rycerskich, „jak je nazywał, w rozprawach honorowych, pojedynkach, wyzwaniach, w robotach „na placu“, uchodził wśród nas za powagę i praktyka, który sam siebie uważał za wyrocznię, za specyalistę *hors concours*;do niego szło się, jak w dym, prosto, gdy zachodziła potrzeba zmazania „krwawej obelgi.“

Nie dziwiłem się wcale, że Dryziewicz wybrał sobie Admirała na drugiego sekundanta,

— No, no, dobrze! — rzekłem, zdecydowany służyć za świadka w sprawie, która miała początek tak obraźliwy, że zakończenie jej musiało być przewidywane, jako tragiczne.

Niema co! — myślałem w tej chwili — tu pachnie nietylko prochem, ale i krwią; to się nie może skończyć na niczem, nawet nie powinno!... Nie znam jeszcze tego drugiego, ale Dryziewicz swojej obelgi nie daruje; będzie

strzelał i mierzył, to fakt, a że będzie się starał trafić, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

No, ale trudno!... nie może być inaczej.

Wyznaję jednak, że czułem złość wielką na Lubczyńskiego, który i pismo, i redaktora swego w taki sposób naraził, a sam pod osłoną anonymu wyjdzie z tego wszystkiego cało i żadnej odpowiedzialności wobec świata i opinii nie potrzebuje dźwigać.

Kto tam o nim będzie wiedział i troszczył się:czy on, czy też kto inny był autorem artykuliku reporterskiego, za który pokutować musi teraz jeden tylko Dryziewicz, jako redaktor pisma!

— Bo też ty masz... — zacząłem nagle tonem wyrzutu jakąś moralną naukę prawić Dryziewiczowi, ale spostrzegłem się, że chwila niebardzo odpowiednia po temu, by się z nim zapuszczać w rozprawy o tem, co jest stosowne lub niestosowne w druku i co należy, a czego nie należy podawać do wiadomości publicznej za pośrednictwem prasy; nie dokończyłem tedy i urwałem szybko na tych kilku wyrazach.

— Co ja mam? zagadnął, podnosząc na mnie oczy zaciekawiony.

— A no... masz szczęście do reporterów! — wykręciłem się jakoś i zacząłem wyładowywać całą żółć na Lubczyńskiego, jako głównego sprawcę tej awantury.

— Ależ on temu nie winien! — bronił go jeszcze Dryziewicz; — wiadomość była dobra, interesująca, ciekawa...

— Jeżeli tylko prawdziwa! — wtrąciłem.

— Musi być prawdziwą, skoro się nią ktoś dotkniętym uczuł — zauważył doświadczony redaktor;nie było przecież nazwisk w artykule wymienionych, a jednak rzecz dostała się pod właściwym adresem.Uderz w stół, nożyce się odezwą, jeżeli na nim leżą. Teraz nie wątpię, że Lubczyński nie zełgał. Ta napaść jest tylko potwierdzeniem faktu, opisanego we wczorajszym numerze: „ wyrodne dzieci“ same się zdradziły!...

Na te słowa właśnie wpadł Lubczyński do redakcyi, zdyszany, zaniepokojony, wystraszony prawie;musieli go gdzieś odszukać w knajpce, przy piątym„kubełku“ pilznera, w połowie kolacyi, bo twarz miał zaczerwienioną i czuć było od niego piwo, jak od browarnika.

— Co słyszę?... co się stało?... czy to prawda?.. — wołał trochę afektowanym głosem, nadrabiając miną spotkała redaktora taka przykrość?... Ależ to kryminał!... to okropność!...nie mogę przyjść do siebie z oburzenia. Kiedy dostałem kartkę redaktora, myślałem, że trupem padnę. To nikt inny, tylko Bielak!... Bielak ze swoim bratem. Szyję daję, jeśli to nie oni!... to tylko na nich patrzy. Jakże to było?...jakim sposobem mogło się stać na ulicy, wobec tylu przechodniów?...Takich łajdaków trzeba było ubićkijem, jak psów!

— Cicho pan bądź!... nie wrzeszcz pan!-mitygował go Dryziewicz; — podyktuj mi pan raczej nazwisko i dokładny adres tych Bielaków.

Lubczyński się jeszcze ciskał, rzucał, wrzał, odgrażał, że sam natychmiast pojedzie za rogatki i „pokaże im!“ przysięgał się, że wpakuje obu do kryminału i wydobędzie

na jaw jeszcze inne ich sprawki.Cóż to oni sobie myślą?... własnego ojca, sędziwego starca z domu za próg wyrzucili, każą mu przy drodze w rowie rękę wyciągać do przechodniów, ograbili go ze wszystkiego, majątek cały zagarnęli, cegielnię zabrali, awanturniki, zabijaki, szuje!... Tfu!... Wyrzutki społeczeństwa!... Jeszcze się będą w taki sposób stawiali?... On im pokaże!... Co to jest?... żeby też prasie nie wolno było takich szubrawców publicznie piętnować?... jeszcze czego!... Teraz trzeba ich z imienia i nazwiska ogłosić i pod sąd pociągnąć, on ma świadków, on im dowiedzie, że starego ojca wypchnęli z domu, że się z nim, jak z psem, obeszli.

— Własną ręką dałem mu rubla... nawet go redakcyi nie policzyłem; rubla, jak sobie zdrowia życzę! — zaklinał się rozrzewniony własną hojnością ostatniego rubla mu dałem, bo nie miałem więcej przy sobie!... Trzeba starego odszukać i sprowadzić, niech ogłosi publicznie, jak to było. Już ja go znajdę, bądź redaktor spokojny!... Ho, ho! z tego wyniknie europejska sprawa; to się na tem nie skończy.Na jutro dam dwieście wierszy ze szczegółowym opisem, jak to było. Zaraz siadam i biorę się do artykułu!...

Nie wiem czemu, nie podobał mi się ten jego zapał; raziła mnie krzykliwość i przesada, która jeszcze bardziej odbijała od spokoju Dryziewicza.

— Więc co to za ludzie? — spytałem go; — jakaś przedmiejska hołota?... gbury?.. prostaki?...

— Kryminaliści!...

— Ale co za jedni?

— Mają swoją cegielnię za rogatkami.

— Zatem przemysłowcy?.. pan ich znasz?

— Nie, osobiście nie widziałem żadnego na oczy, ale wiem o nich, że zamożni. Sama realność warta ze 20, 000 a może i więcej. Stary ich edukował, do szkoły posyłał. Za rogatką znają ich, jak zły szeląg. To właśnie, panie, zbrodnia, że ludzie majętni w taki sposób własnego ojca traktują!... To przecież publiczne zgorszenie!... Czyż byłbym pisał o tem, gdyby chodziło o kogo innego?...

— No, więc cóż? — zwróciłem się z zapytaniem do Dryziewicza.

— Obstaję przy swojem. Pojedziecie jutro z Admirałem wyzwać ich. Nic mi innego nie pozostaje.

Lubczyński oczy wybałuszył, jak ropucha.

— Jakto?.. redaktor chcesz się strzelać z takimi łajdakami?

— Nie, będę czekał, aż ich pan do kryminału wpakujesz! odpowiedział niechętnie, odwracając się do niego plecami i zaczął mi dawać wskazówki, jak mamy odrazu całą sprawę postawić sztorcem.

— Warunki jak najostrzejsze, żadnych ustępstw i zwlekań! — mówił — nadewszystko bardzo cię proszę, żeby to się za jednym razem skończyło. Nie układać się, nie dysputować, tylko wyzwać oznaczyć godzinę, plac i choćby jeszcze jutro, niech staną.

— Jakto obaj?..

— Wszystko mi jedno, możecie wyzwać obu.

— Ależ...

— Proszę cię, żadne „ale,“ znasz mnie, że słów na wiatr nie rzucam. Zostałem ciężko znieważony, muszę mieć dużą

satysfakcyę, zupełną!...

— Jak uważasz.

— Jutro czekać was będę z niecierpliwością od samego rana. Znajdziecie mnie gotowym na wszystko.

Potem, załatwiwszy się raz w ten sposób ze mną, wrócił do biurka i przez tubę, łączącą jego gabinet z zecernią, zapytał dyspozytora:

— Panie Blatkiewicz!... ile mamy na jutro burgosu?.. a inseratów?.. trzy kolumny?.. to dobrze, proszę przysłać do mnie chłopca po rękopisy do numeru.

I najspokojniej zajął się swemi obowiązkami redaktorskiemi, jak gdyby już zapomniał, że jutro będzie się musiał strzelać i walczyć na śmierć lub

*
* *

Nazajutrz około południa jechaliśmy karetą wyzywać tego jakiegoś Bielaka za rogatki.

Admirał żądał, żeby to wszystko odbyło się„po formie;“ włożył czarny tużurek, czarny krawat, ciemne rękawiczki; mnie kazał wyelegantować się, jak na pierwszą wizytę, sam przybrał minę uroczystą i tak poważną, jakbyśmy jechali spisywać już akt zejśca i asystować przy pogrzebie człowieka, którego dopiero w imię obrażonego honoru mieliśmy z bronią w ręku, oko w oko, postawić z naszym paukantem na placu.

Dzień był prześliczny, pogoda, jak na zamówienie, w powietrzu czuć było te pierwsze tchnienia wiosny, co to

przejmują człowieka jakimś ożywczym dreszczem i każą mu się uśmiechać do słońca, do nieba, do całego świata, niemal do psów, biegających po ulicach, nie dopiero do swoich bliźnich.

— Śliczny dzień — rzekłem do Admirała, który siedział obok mnie namarszczony, chmurny i przejęty do szpisu kości swoją misyą.

Zmrużył jedno oko i pokręcił wąsy, które, jak dwie miotły, umaczane w atramencie, stroszyły się mu pod nosem; uważałem, że je dzisiaj swoim zwyczajem „zrektyfikował“ jakiemś obrzydliwenm czernidłem, aby mieć jeszcze bardziej marsową i groźną minę, zastosowaną do okoliczności.

— Jutro będzie piękniejszy! — odparł z naciskiem.

— Dlaczego?

— Bo jutro o tej porze będziemy wracali z satysfakcyą, zostawiwszy na placu trupa.

Oczy mu przy tem krwiożerczo błysnęły, jak u prawdziwego wilka morskiego.

— Tak sądzisz? — spytałem.

Spojrzał na mnie z urazą, że śmiałem wątpić, i odchrząknął tak mocno, jakby miał w gardle moździerz do strzelania na wiwat.

Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu; nagle Pukalski zwrócił się do mnie oburzony i spytał:

— Cóż to?.. ty ziewasz?...

Myślałem, że się rzuci na mnie.

— A no ziewam!.... dziwi cię to?.. niewyspany jestem — rzekłem spokojnie.

— Niewyspany jakto można być niewyspanym!... ja nie wiem, czy dwie godziny spałem dzisiaj.

— A cóżeś robił?..

— Jakto co?.. musiałem przecież przygotować wszystko do jutrzejszego pojedynku. Zaraz w nocy pojechałem do Rzedzińskiego po pistolety, wyciągnąłem go z łóżka i kazałem sobie broń oddać. To najważniejsze!...

— Tak?...

— A cóż ty myślisz, że jabym im pozwolił stanąć na placu, nie wypróbowawszy wpierw moich pistoletów?.. Przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny muszą się znajdować w moich rękach!... Muszę być pewny strzału, inaczej za nic nie ręczę. To nie bagatela!... Komenderujesz raz, dwa, trzy!... a tu klap i pali na panewce. Kompromitacya!... to nie ze mną, mój chłopia. Potem poszedłem do Linkiewicza, wyciągnąłem go z Resursy i kazałem mu przygotować sobie instrumenta, bandaże etc. Linkiewicz ma praktykę w tych rzeczach. Ja ci się bez Linkiewicza nigdzie nie ruszę!... Mam do niego zaufanie; dobry doktór a prztem bursch, co się zowie!... Do rany go przyłożyć. Będzie gotów na jutro rano, tylko prosił, abyśmy się uwinęli szybko, bo o 12-ej ma operacyę. No, to się zrobi!... Do południa będziemy już z powrotem.

Mówił to wszystko z takiem przeświadczeniem, jak gdyby na chwilę nie wątpił, że pojedynek przyjdzie do skutku, co więcej, że Dryziewicz musi tamtego od pierwszego strzału rozciągnąć na placu.

— No, a co zrobimy, jeżeli ten Bielak nie zechce stanąć? — wtrąciłem, przypuszczając i tę ewentualność.

Admirał aż poczerwieniał; oczy wytrzeszczył, wąsy mu zadrgały, nasrożył się, jak borsuk, i nie przysięgnę, czy zębami nie zgrzytnął.?

— Co takiego?... — ryknął — nie stanie?... No!chciałbym to widzieć.

Obrzucił mnie spojrzeniem pogardy i dodał:

— Ja już nie takich lisów wykurzałem z nory.Zobaczysz!... Za kark hycla sprowadzę na plac!...Dobry sobie!... nie stanie?!... Chciałbym to widzieć.

Oburzony był na mnie za to samo przypuszczenie niedorzeczne.

Admirał wyzywa, sekunduje i przeciwnik nie staje?... to było niepodobieństwem.

Zaczął mi przytaczać rozmaite przykłady ze swej praktyki i zapalając się, mówił:

— Spróbuj mi nie stanąć!... no, spróbuj!... A ja ci pokażę, że jeśli zechcę, to cię przyłapię gdziebądź!...Z łóżka cię wyciągnę, z mysiej dziury dobędę!... Jeszcze czego!... Na to, mój chłopie, są sposoby. Cóżeś ty myślał, że to żarty?... Żeby mi taka bestya jeszcze stanąć nie chciała?... Musi stanąć, a Dryziewicz będzie walił, jak do świecy. Nie bój się... już kiedy ja co prowadzę, to się nie może nie udać. Zabroniłem mu dzisiaj opychać się, dyeta przedewszystkiem; o dziesiątej do łóżka, jutro rano go obudzę, dostanie czystej herbaty i kieliszek koniaku, więcej nic, ani powąchać. Kiszki powinny być próżne!...Licho nie śpi. A nuż mu tamten bałwan wpakuje kulę w brzuch?... To się zdarza!... Dyabeł go wie, czy umie strzelać. Ale niedoczekanie jego, aby trafił!... Nie będzie miał na to

czasu. Posłałem dziś Dryziewicza do strzelnicy, niech się trochę wprawi;on zresztą nie potrzebuje tego, ma zimną krew i dobre oko, ale zawsze... co to szkodzi?... Gdyby chybiła szelma, wyrzekłbym się z nim znajomości na całe życie?...

Wyjechaliśmy za rogatki.

Kareta toczyła się po bruku dzióbatym, jak po ospie, zaśmieconym jeszcze po wczorajszym targu, pełnym wybojów i kałuży, w których świeciły do słońca plastry zeszłotygodniowego błota.

Po obu stronach drogi stały odrapane domki, tu i ówdzie pretensyonalnie podnosiła się nad ich dachami piętrowa kamieniczka, albo biegł długi parkan, z po za którego wychylały się ciekawie czuby rozkwitających bzów i zielonych akacyi.

Z lewej strony rozciągały się płaskie pola, żółtemi plamami glinianek pokryte, a w dali dymiły piece małej cegielni.

— Ot, masz! — zawołał nagle Admirał — to pewnie tu!... widzisz, jest figura przy mostku, a pod figurą jakiś dziad siedzi. Może to nawet stary Bielak?.. każno stanąć stangretowi, musimy się rozpytać.

Zatrzymałem karetę.

Pukalski wychylił się przez okienko i rozglądał w okolicy.

— Mówię ci, chłopie, że mi ten dziad coś na starego Leara wygląda! — szepnął tajemniczo; — ja mam nos!... i oko!... Czekaj, zobaczysz, że my tu natrafimy na ciekawą jaką historyę. Hej, ojciec!zaczął wołać, kiwając ręką na

dziada, siedzącego przy drodze i grzebiącego w ogromnej torbie, łatami pokrytej. — Ociec!... a pójdźcie-no tu do nas!... Czy wy Bielak?.. stary Bielak?... co?... Jak się nazywacie?

Dziad wytrzeszczył wyblakłe oczy, przekrzywił rozczochraną głowę, usta otworzył i patrzył zdziwiony na karetę, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi.

Admirała ta jego skonfundowana mina utwierdziła tylko w powziętem przypuszczeniu.

— Bielak!... a co?.. nie mówiłem? — zwrócił się do mnie z tryumfującą miną. — Zgłupiał formalnie, żem go poznał!... czekaj, trzeba wysiąść.dowiemy się czegoś więcej!

Otworzył drzwiczki i wyskoczył z karety.

— To, to was tak synowie urządzili, co?..was?.. — rozpoczął indagacyę, pochylając się nad rowem i stając, jak kolos rodyjski, na rozkraczonych nogach. — No, gadajcież, skoro się was pytam!... Bielak?.. prawda?.. my tu umyślnie do was przyjeżdżamy.

Dziadzisko gramolić się zaczął, aby powstać, i szukał kija, na którym się opierał.

— A to ci traf! — wołał do mnie Admirał, coraz bardziej przejęty swoją rolą sędziego śledczego;pomógł staremu postać na nogi i zarzucał go pytaniami:

— Dawnoż tu tak siedzicie?.. ile lat macie?..synowie wam pozwalają żebrać przy drodze?.. gdzież ta wasza cegielnia?...

Dziad pochylał mu się do kolan i próbował go w łokieć pocałować, ale odpowiedzi nie dawał, pokazując na migi,

że jest niemy.

Poczciwemu Admirałowi twarz się przedłużyła;opuścił wąsy i wyraz rozczarowania pokrył mu zachmurzone oblicze.

— Niemowa z was?.. — zaczął badać nanowo — ale Bielak jesteście, co?.. Bielak, czy nie Bielak?...

Stary głową potrząsał, bełkocąc niezrozumiale i wskazując ręką po za siebie ku kominom cegielni, stojącej o kilkaset kroków za długim parkanem, ogradzającym małe domostwo.

— Dajże mu pokój — odezwałem się, powstrzymując śmiech na widok tego *qui pro quo* — przecież widzisz, że to pomyłka. Jedźmy dalej!... szkoda czasu.

Pukalski wrócił do karety, z urazą spoglądając na dziada, który tak haniebnie zawiódł jego zmysł spostrzegawczy, ale nie dając za wygranę, zmrużył jedno oko i w najgłębszem przekonaniu rzekł do mnie półgłosem:

— Udaje bestya!... boi się zdradzić.

— Trzeba mu było dać rubla, jak Lubczyński-wtrąciłem — możeby był mowę odzyskał.

— A prawda!... no, ale to się pokaże.

Pojechaliśmy dalej i stanęli przed furtką,. zamkniętą z wewnątrz, u której wisiał zardzewiały drut bez rękojeści od dzwonka.

Admirał poprawił na sobie ubranie, wąsy rozczesał, aby nabrać poważnej miny i zadzwonił.

Za parkanem psy zaczęły szczekać, rzuciwszy się ku furcie i węsząc, biegały po piasku, ujadając zajadle.

Po długiej chwili dały się nareszcie słyszeć czyjeś kroki

z drugiej strony parkanu. Klucz zaskrzypiał w zamku i w uchylonych drzwiach ukazała się postać bosego chłopaka w popielatej kurtce, zrudziałej od ceglanego miału, i w słomkowym kapeluszu, który oddawna powinien był służyć już za stracha na wróble.

— Tu jest cegielnia panów Bielaków?.. — spytał ostro i krótko Admirał.

— A no, tu; abo co? — brzmiała odpowiedź, po której zaraz nastąpiły wymyślania:

— Pódziesz ścierwo!.. a do budyl... żeby cię cholera!... bedziesz ty cicho?I... Szarpaj, psiakrew, Zagraj... stul pysk, bo ci kości połamię!

Dwa brytany, skowycząc i szczekając, rzucały się ku furcie, podrażnione widokiem obcych i nie dały się uspokoić.

— Partowie z interesem, czy jak? — pytał chłopak przez szparę, odganiając psy nogą.

— Z interesem, ważnym! — mówił Pukalski;zastaliśmy obu panów Bielaków?

— Młodych?

— Tak.

— Ano są, na cegielni.

— Zamelduj nas!

— Co zrobić?

— Zamelduj nas! — powtórzył mój towarzysz i wyciągnął z kieszeni nasze bilety wizytowe;-oddaj to panom i powiedz, że przychodzimy w ważnej sprawie, w sprawie honorowej, rozumiesz?

— Cobym nie miał rozumieć?

— A pamiętaj powiedzieć, że dwóch panów chce się widzieć, dwóch!... — powtórzył z naciskiemj-dwóch!... rozumiesz?

— A dyć widzę, że nie jeden!... — odciął się chłopak opryskliwie z niechęcią i zatrzasnął nam furtkę przed nosem.

— Jaki pan, taki kram! — mruknął już zirytowany Admirał — musimy z miejsca ostro się brać.Żadnego pardonu!... Ja się krótko z nim załatwię, zobaczysz!... Pozwól mi mówić, a ty tylko słuchaj. Niema się co bawić w dyskursa. Najlepiej po wojskowemu, raz, dwa, trzy i basta!... Zapnij się na wszystkie guziki.

Obciągnął na mnie surdut i poprawił sobie krawat, jak przed ministeryalną audyencyą, a dostrzegłszy mój uśmiech, rzekł:

— Jak cię widzą, tak cię piszą!... sekundanci powinni mieć minę uroczystą. Sekundant, to poseł śmierci!... cóż ty myślisz?.. Broń, Boże, uśmiechać się, siadać, rękę podawać!... zimno, ostro, ceremonialnie, bez wszelkiej konfidencyi; trzymać się sztywno i fest!

Zacisnął pięście i zrobił niemi odpowiedni ruch, wyprężywszy się, jak przed frontem.

— To nie żarty!...

Kazano nam czekać z dobrych dziesięć minut, zanim klucz znów w zamku zaskrzypiał i furta się otworzyła; ten sam chłopak wprowadził nas na podwórko ze słowami

— To niech panowie idą!... pan Ignac zaraz przydzie, tylko ostatniorn furę wyładujom.

Psy uwiązane zaczęły znów swój duet, starając się

przeszczekać jeden drugiego; chłopak pogroził im kułakiem i odszedł, zostawiając nas na podwórku, zasadzonem krzakami agrestu, malin i słoneczników.Kilka wychudzonych drzewek przytulało się do parkanu i ocieniało dworek biały, murowany, z przystawką dzikiem winem oplecioną; pod oknami rozściełały się zielone rabaty, pocętkowane jakiemiś żółtemi kwiatkami.

Na stopniach do przystawki wygrzewał się na słońcu duży, bury kot, zwinięty w kłębek obok ślepego pinczera, z którym zdawał się pozostawać w najlepszej zgodzie.

W oknach otwartych stały doniczki z myrtem i geranium, wisiały klatki pełne szczygłów i kanarków, ćwierkających zapamiętale, bieliły się nawet firanki, z po za których zdawało mi się dostrzegać ciekawe twarze kobiece.

Z wnętrza domu dochodził płacz dziecka i okropnie fałszywy głos piastunki, śpiewającej mu do snu.

Wszystko sprawiało wrażenie podmiejskiego zacisza, zagospodarowania i prostoty.

Na tem tle dwie nasze sztywne, milczące i wyczekujące figury wydawały mi się jakimś dziwnym kontrastem, który odbijał od całego otoczenia.

W czarnych tużurkach i cylindrach wyglądaliśmy, jak dwaj karawaniarze, którzy wnosili tu grozę i ponury nastrój prawdziwych „posłów śmierci.“

Nie wiem czemu, ale czułem, żeśmy tu byli jakby intruzami, zupełnie nie na swojem miejscu; pomimo całej powagi naszej misyi, śmiać mi się chciało z fizyognomii Admirała, niezwykle uroczystej, na marszczonej, pochmurnej i urzędowej. Stał z wielką godnością, oparty na

lasce, i rękę trzymał założoną za klapę surduta z miną prokuratora, który za chwilę ma rozpocząć mowę oskarżającą.

Pan Ignac jakoś nie przychodził; tę ostatnią furę musieli chyba przeładowywać, albo też nie spieszył się wcale do załatwienia sprawy honorowej, którą mu chłopak zapowiedział.

— Może panowie pozwolą do pokoju? — odezwał się nagle za nami miękki, uprzejmy, jakby pokorny głos kobiecy; we drzwiach dworku stanęła staruszka nizka, szczupła, zawiędła, w czarnym czepeczku ze szlarkami, ubrana z mieszczańska, ale przy fartuchu gospodarskim, pod którym ukrywała obie ręce, zwyczajem miejskich kumoszek.

— Panowie do Ignaca, czy do Pawełka? — spytała.

— Do obu — odpowiedział jej krótko i stanowczo Pukalski, uchylając z lekka kapelusza.

— Do obu? — powtórzyła ze zdziwieniem i jakiś wyraz zafrasowania odbił się w jej ciemnych, zapadłych oczach; siliła się widocznie odgadnąć cel tak niezwykłych odwiedzin i mierzyła nas zakłopotanym wzrokiem.

— Ignaca ino co nie widać, a Pawełek pewnie przy piecach-mówiła, schylając przy każdym wyrazie głowę, jakby nas ukłonami witać chciała;-niech panowie pozwolą do pokoju! Na słońcu to nieprzyjemnie... Ja zaraz poślę po starszego syna. Janek!...Janek!...

I podreptała przez sień na drugą stronę domu, jak stara kokoszka za pisklętami.

Z bocznego okna wyjrzała główka młodej dziewczyny w

perkalowej bluzce i duże, czarne oczy, z poza myrtów i klatek błysnęły ku nam ciekawie, a przez drzwi wychyliła się jeszcze jakaś postać kobiety dwudziestokilkoletniej, przystojnej i zażywnej.

— Baby w domu! — szepnął do mnie pod wąsem Admirał;-nie lubię tego!

Skrzywił się i dolną wargę wydął, pokiwał głową, spojrzał na zegarek i rzekł:

— Jeszcze dwie minuty, a...

Nie dokończył jednak, bo w tej chwili, jakby wyrósł z pod ziemi, stanął przed nami w szarej kurtce, w butach z cholewami, powalanych gliną, w granatowej czapce z daszkiem lakierowanym, mężczyzna trzydziestokilkoletni, o twarzy pełnej, ogorzałej, rumianej, nieogolonej zapewne od niedzieli, barczysty, tęgi, jak olbrzym i rzuciwszy na nas z pod oka ponure, podejrzliwe spojrzenie, uchylił z lekka czapki, pytając:

— Panowie do mnie, czy do brata?

Pukalski drgnął, wąsy wysunął naprzód, jak sum i rzekł:

— A, to pan?...

Przeszył go wzrokiem, niby szpadą, odetchnął głęboko, wyprostował się i zaczął z miejsca:

— Przychodzimy tu w wiadomej panu sprawie pana redaktora Dryziewicza; chcielibyśmy na osobności pomówić z panem słów kilka.

Olbrzym łypnął powiekami, ręce wsadził w kieszenie od spodni, rozstawił nogi i kołysał się na nich, spoglądając ponuro w ziemię; ogorzała twarz jego przybrała przez chwilę barwę ceglastą.

Rozmyślał, jakby oryentując się w sytuacyi, potem szepnął:

— Hm!... to panowie z redakcyi?.. A no, dobrze; to proszę za mną.

I bez ceremonii, wyprzedzając nas, wszedł na ganek.

Czapkę niezgrabnym ruchem zerwał z głowy i rzucił przez cały pokój na stolik, stojący w kącie, przygładził dłonią jasne blond włosy koloru słomy i przygarbiwszy się nieco, wsadził ręce znów do kieszeni, stając w wyczekującej pozie.

Pokój, do któregośmy weszli, był nieobszermy, ale schludny, urządzony z mieszczańskim gustem i zapewne najparadniejszy w całym domu; rypsowe meble, stół nakryty serwetą szydełkowej roboty z porcelanową lampą w pośrodku, na której w zielonem gniazdku z włóczki żółty kanarek służył za nakrycie szkła, aby się nie zakurzało. Na ścianach wisiało parę oleodruków i lustro w złotych ramach z powsadzanemi biletami imieninowemi, obciągnięte różową organtyną od much.

W ramkach z muszelek i plecionej słomy, grupowała się między oknami cała galerya fotografii, pomiędzy któremi, widocznie jako pamiątkę ślubną, zauważyłem pana Ignaca we fraku z ogromnym bukietem przy klapie, obok przystojnej oblubienicy w białej sukni i sutym woalu.

Domyśliłem się łatwo, iż był żonatym i że to kwiląc dziecko było zapewne pierwszą pociechą państwa Ignaców.

— No, więc panowie czego?-zagadnął nas po chwili w niezbyt uprzejmy sposób.

Admirał odchrząknął, spojrzał na mnie znacząco, jak

gdyby chciał powiedzieć: „słuchaj teraz i uważaj!“ — głowę podniósł z godnością i rzekł:

— Przedewszystkiem dla skonstatowania faktu pozwoli się pan zapytać w imieniu mojem i mego kolegi, czy to pan w towarzystwie jakiegoś drugiego pana napadłeś wczoraj w nocy, między godziną dziesiątą a jedenastą, pana redaktora Dryziewicza w podwórzu, gdzie się mieści redakcya i wyrządziłeś mu czynną obelgę, uważając się dotkniętym z powodu artykuliku, dotyczącego pańskich stosunków rodzinnych?

Bielak usta zagryzł, oczy zamknął, głowę przekrzywił, jak gdyby się namyślał nad odpowiedzią;wreszcie z ironicznym jakimś grymasem spytał:

— No, a jeżeli ja, to co?...

— Pan zatem jesteś panem Ignacym Bielakiem? — indagował dalej Pukalski.

— Tak mnie zowią od urodzenia.

— Czy nie zechciałbyś pan nam wymienić nazwiska swojego wczorajszego towarzysza?

— A na co panom to wiedzieć?

— Będzie to nam potrzebne do sprawy.

— W sądzie?

— Sprawy honorowe załatwiają się w inny sposób, na drodze honorowej satysfakcyi — zauważył z dworską grzecznością Admirał; — zechcę nam szanowny pan jeszcze tylko oświadczyć, czy przyjmuje sam na siebie odpowiedzialność wobec pana redaktora Dryziewicza za wczorajszą obelgę, czy też mamy się zwrócić do pańskiego spólnika?

— Niby jakto?...

Pukalski nastrajał się na coraz grzeczniejszy ton, aby tem większy efekt wywołać formalnem wyzwaniem na końcu.

— Pragnęlibyśmy wiedzieć, czy szanowny pan zgodnie z pojęciami i obowiązkami honoru gotów będzie dać naszemu przyjacielowi stosowne zadośćuczynienie, jakie się w podobnych wypadkach praktykuje? Wiadomo zapewne panu, że czynna zniewaga wymaga satysfakcyi z bronią w ręku...

Bielak skrzywił znów usta tym swoim ironicznym grymasem i rzekł:

— To niby pojedynek, co?...

Admirał skłonił się z powagą i nizkim głosem odparł:

— Nieinaczej.

Bielakowi żyły nabiegły na skroniach, zagryzł usta, przez chwilę milczał, bawiąc się srebrnym łańcuszkiem, przy którym, jako wisiorek, pobrzękiwał zaśniedziały talar i gałązka czerwonego koralu, potem odwrócił głowę ku oknu, mruknął: „u-hm?...“ i rozsiadł się na krześle, pozwalając nam stać w wyczekującej pozycyi.

— Pojedynek?.. — powtórzył — pojedynek!...uhm!... to znaczy, że ja mam stanąć na placu i dać strzelać do siebie.

— Szanowny pan ma przecież także prawo do strzału, nawet pierwszego, jako wyzwany — objaśnił Pukalski.

— Pierwszego, powiadasz pan?... nawet pierwszego?... Fiu, fiu!... no i co dalej?..

Admirał błysnął ku mnie okiem i postąpił do Bielaka ze słowami:

— Po wyjaśnieniu sprawy pozostaje nam tylko w

imieniu naszego przyjaciela, pana redaktora Dryziewicza, zażądać od pana w jak najkrótszym terminie satysfakcyi, w przeciągu dwudziestu czterech godzin, na śmierć lub życie!...

Wyzwany podniósł głowę, wytrzeszczył na niego oczy i wzruszył ramionami:

— Ja tam żadnej satysfakcyi więcej nie potrzebuję. Wziąłem sobie satysfakcyę, jaka mi się podobała i basta. U nas, panie, za rogatkami na takich fanaberyach się nie znają. Pan Dryziewicz, jeśli chce, może mnie skarżyć! Ja się tam niczego nie boję;zapłacę pięć fajgli i skończona historya.

Staliśmy obaj, jak wryci.

Pukalski poczerwieniał, wąsy mu się nastroszyły, nozdrza rozdęły, nie wiedział w pierwszej chwili co odpowiedzieć na takie *dictum*; stracił rezon, ale się rychło opamiętał.

— Szanowny pan zdaje się nie pojmować dobrze znaczenia obrażonego honoru — rzekł.

— Ee, proszę pana, pan mnie honoru uczyć nie będzie — przerwał mu Bielak opryskliwie-u mnie panie, honor o tu!... w garści!... Kiedy mi kto honor naruszy, to biję w papę, albo kości łamię i skończyło się. Co to pan sobie myśli, że ja pozwolę, aby mnie po gazetach szkalowali?... Co drukowane, to powinno być święte!... A pan Dryziewicz zrobił ze mnie i z mego brata wyrodków, odsądził nas od czci i wiary, podał na pośmiewisko ludzkie i mieliśmy mu to darować? O, niedoczekanie jego!... Pokrzywdził on nasz honor, to niech się teraz liże!... Ma, na co zasłużył. Niech

Panu Bogu dziękuje, że mu się tylko tyle dostało. Z Bielakami, panie, to trzeba ostrożnie; my tam nikogo bez powodu nie zaczepiamy, ale kiedy nas kto na tyle skrzywdzi, to bijemy, co się wlezie!...

Podniósł głos i gestykulował zaciśniętemi pięściami, jakby nam chciał odrazu zęby powybijać.

— A coby on zrobił, żebyśmy tak rozpowiadali po całym świecie, że swego rodzonego ojca zapróg wyrzucił i żebrać mu pozwolił? To to wolno takie bezeceństwa drukować w gazecie?.. Ładna mi gazeta, co takie bajdy rozpuszcza!... U nas baby plotki roznoszą, ale żeby w gazecie pisano łgarstwa, toprzecie wstyd!

Admirał spotniał.

— Pozwoli szanowny pan zwrócić sobie uwagę — zaczął — jakkolwiek to w tej chwili do rzeczy nie należy, że jednak w tym artykule była prawda...Wiadomość oparta była na fakcie autentycznym, znalazłyby się na to dowody.

— Znalazły, czy nie znalazły — przerwał mu znów pan Ignąc rozsierdzony jeszcze bardziej — to wszystko jedno!... do cudzego garnka zaglądać zasię!... Co się w jakiej familii dzieje, to nikomu nic do tego. Jeszcze czego... toby mi się podobało!...

Chodził po pokoju dużemi krokami i spluwał po kątach.

Sytuacya stawała się drażliwą, a co najgorsza, bez wyjścia; sprawa przybierała obrót zupełnie nieprzewidziany.

Spostrzegliśmy za późno, że mamy do czynienia z człowiekiem, który o kodeksie honorowym miał całkiem odmienne pojęcia i należał do sfery zacofanej na punkcie

„rycerskich“ zwyczajów zmazywania krwią wyrządzonej obelgi.

U niego „za rogatkami“ nazywano pojedynek„fanaberyą” dobrą dla panów z miasta, ale nie dla człowieka ciężkiej pracy, prostych obyczajów i nieogładzonych form towarzyskich.

On miał swój „honor w garści“, jak powiadał: szpadę, czy pistolet zastępował pieścią i dotknięty bił, nie rozumiejąc innej satysfakcyi.

I jak tu było żądać zadosyćuczynienia od tego pana Ignacego Bielaka, który zrobił skandal naszemu koledze i przyjacielowi, głośny już zapewne w tej chwili w całem mieście i objaśniany najopaczniejszemi może domysłami i dodatkami?!...

Położenie Dryziewicza było fatalne; odczuwaliśmy to obaj, jako sekundanci, i rozumieli, że gdyby go ten pan Ignac ubił na miejscu, albo wprost zamordował, nie dopuściwszy nawet do strzału, to mniejby go jeszcze pokrzywdził, aniżeli upokorzywszy tak bardzo w opinii publicznej, bez możności poszukania sobie za to satysfakcyi.

Wiedzieliśmy, jak to wyzyska „konkurencya“, jak przekręci złośliwość ludzka, jak skorzystają z tego przeciwnicy; rozmaże się to, rozbabrze na plotkarskich językach, jeżeli plama będzie musiała zostać niewywabioną.

Pukalski też uprojektował sobie za jakąbądź cenę doprowadzić do pojedynku.

— Więc to znaczy — odezwał się do Bielaka — że pan

się bić nie myśli?

— Owszem, panie, na kułaki!...

— Pan daruje, ale takie żarty są niestosowne — zwrócił mu uwagę urażony Admirał. — Krótko mówiąc, pan odmawia pojedynku?

— To się rozumie... ja się tam w pojedynki żadne nie bawię.

— I nie stanie pan panu Dryziewiczowi?

— Nie.

— Ani żadnemu z nas według przyjętego zwyczaju?

— A co ja mam do panów?... ja panów nawet nie znam i pierwszy raz na oczy oglądam.

— W takim razie pozwoli pan, że spiszemy protokuł wyzwania.

Bielakowi ten wyraz „protokuł“ zaimponował.

— Protokuł?.. a to na co?...

— Na to, aby pozostał w aktach dowód pańskiego... tchórzostwa — odparł spokojnie, ale z mocą, Admirał, zdejmując powoli rękawiczkę. — Jakkolwiek pan widocznie nie jesteś szlachcicem, panie Bielak, ale powinieneś wiedzieć, że...

Ignacowi twarz oblała się takim rumieńcem, że wyglądał, jak pomidor.

— A to panu kto powiedział, żem nie szlachcic? — wybuchnął nagle z pasyą, że mimowoli ścisnąłem silniej laskę i stanąłem pomiędzy nim a Pukalskim.

— Masz pan wiedzieć, że jestem szlachcic i to może lepszy od pana!... a że robię cegły, to lepiej, niż żebym był darmozjadem i bruki zbijał, — albo gazety pisał!... Pan mi

tu w moim domu szlachectwa nie wypominaj, bo się jeszcze zapomnę i... No!...

Ten wybuch gniewu zamiast przestraszyć, uradował widocznie Admirała, bo odkrył mu słabą stronę, po której spodziewał się trafić, teraz do ambicyi Bielaka.

— Wybaczy pan, ale mi trudno temu uwierzyć — odparł — aby szlachcic odmawiał pojedynku.Zawód człowieka nie hańbi, ale odmowa honorowej satystakcyi hańbi szlachcica!... Skoro pan odmawiasz, napiszemy w protokule, że szlachcic, Ignacy Bielak, nie przyjął wyzwania za uczynioną panu redaktorowi obelgę. Jeżeli pan woli takie załatwienie sprawy, to proszą o arkusz papieru, pióro i kałamarz.

Rozpiął tużurek, wspaniałym ruchem postawił cylinder na stole i usiadł, spoglądając badawczo z pod oka na Bielaka, który zdawał się być zmieszany tym zwrotem i zmianą tonu Pukalskiego; niewiedział widocznie, co na to odpowiedzieć. Zaskoczyła go ta pogróżka niespodzianie.

— I bić się nie będę, i pisać nic nie dam! — odrzekł po chwili — u mnie nie kancelarya. Jeżeli panowie chcą, to niech sobie piszą u siebie protokuły.

— To być nie może — zaprzeczył krótko, lecz stanowczo Admirał — protokuł musi być spisany w obecności wyzwanego, jak dokument, który w danym razie zostanie ogłoszony.

— Jakto?... to niby panowie będziecie to drukować?

— Kto wie!... w razie potrzeby wydrukujemy. Nasz paukant musi się wylegitymować wobec opinii.

Bielak podparł ręką brodę i namyślał się; zrozumiał, że

to mu nową kompromitacyą grozi, jeżeli go publicznie w gazetach tchórzem ogłoszą.

Znalazł się w kolizyi bez wyjścia.

Ambicya szlachecka walczyła w nim z uporem prostaka, który nie chciał ustąpić właśnie dlatego, że go naciskano.

Przez niedomknięte drzwi z drugiego pokoju dochodziły jakieś rozmowy i szepty; ktoś podsłuchiwał całej rozmowy.

Kobiece głosy zdradzały obecność „bab“ za ścianą.

— Ignac! Ignac! — zawołano nieśmiało podczas chwilowej przerwy — chodź-no tu na słóweczko!

Bielak niechętnie zwrócił się ku drzwiom.

— Czego tam?...

Wciągnięto go za rękaw i nagle zmieszane szepty stały się żywsze; kilka głosów jednocześnie na rozmaite tony w przyspieszonem tempie zaczęło mówić, dziwić się, przerywać sobie, a od czasu do czasu jakiś głośniejszy wyraz dochodził do naszych uszu:

— Ani mi się waż!...

— Przyjmij!... a ja ci mówię, przyjmij!

— Cicho bądź, smarkata!... nie wtrącaj się!

— Co się nie mam wtrącać?.. albo do famielii nie należę!

— Ignac, na rany Boskie, nie bij się!...

— Właśnie, że się bij!...

— Nie bij!

— Bij!...

— Nie bij!...

Tłumiony płacz kobiecy wmieszał się nagle do tej rozmowy za ścianą; nietrudno było się domyśleć, że to pani Ignacowa w obawie o męża łez swoich powstrzymać nie

mogła.

— Co nam też ojciec najlepszego narobił! — wyrwał się z jej ust niebaczny wykrzyknik, który bezwiednie był najlepszem potwierdzeniem wydrukowanej w piśmie wiadomości.

Sytuacya stawała się coraz drażliwszą, ale i coraz bardziej interesującą; Lubczyński był w moich oczach zrehabilitowany. Fakt żebraniny przez starego Bielaka nie ulegał teraz wątpliwości, a jednak tkwiła wtem wszystkiem jakaś rodzinna tajemnica, której na razie rozwikłać było trudno.

— Stulcie gęby, bo jak Boga kocham!... — wyrwał się nagle z pasyą głos zniecierpliwionego Ignaca, któremu ta familijna narada musiała dopiec do żywego.

Szepty znów przycichły, aż nareszcie zagórował nad niemi świeży, jakąś junakeryą brzmiący głos dziewczęcy:

— A ja jednak mówię, że powinien się bić!... Nastusiaby wolała, żeby jej mężowi od tchórzów wymyślali!... Przecież jest mężczyzna, to co się ma bać?

— Józia, cicho!...

Miałem ochotę uściskać tę jurną dziewuchę, która sama jedna broniła honoru rodziny w tak naprężonej sytuacyi; drżała w jej głosie jakaś nuta szlachetnej afektacyi i odwagi.

Choć tylko jej czarne oczy dostrzegłem w przelotnem spojrzeniu z po za firanek, wyobrażałem ją sobie teraz w postaci amazonki, zagrzewającej cały hufiec do boju.

— Dzielna dziewczyna! — pomyślałem — ta gotowa się nawet strzelać za szwagra.

Admirał siedział zasępiony i zdawał się nie zwracać wcale uwagi na to, co się działo za ścianą; dla niego honor sekundanta w tej chwili był ważniejszym od całego świata. Miał taką minę srogą, jak gdyby siedział na armacie z zapalonym lontem i czekał tylko komendy do wystrzału.

To był prawdziwy Pukalski w każdym calu!...Zbliżyłem się do niego i rzekłem półgłosem:

— Zdaje mi się, że z tego nic nie będzie.

— Co?!

Wybuchnął z takiem oburzeniem, że omal mnie samym głosem nie obalił, potem odwrócił się odemnie z pogardą i zaczął przez zaciśnięte zęby pogwizdywać jakąś pobudkę wojskową. W oczach jego błyszczał hamowany gniew i zniecierpliwienie; młynkował laską, trzymając ją w dwóch palcach, a drugą ręką bębnił po stole i czekał powrotu Bielaka.

Czułem, że za tę wątpliwość sekundanta przestałem istnieć dla niego.

Upłynęło jeszcze kilka długich minut, zanim pan Ignac wyszedł nareszcie z drugiego pokoju; wyglądał, jak niedźwiedź pokudłany, twarz miał osowiałą, oczy w ziemię spuszczone, brwi ściągnięte, nie, śmiał jakoś spotkać się z naszym wzrokiem, ale już spokojniej, choć zawsze ponuro, odezwał się:

— No, ja się, proszę panów, namyśliłem.

Admirałowi twarz się nagle rozpogodziła, jakby ją słońce oblało; spojrzał na mnie z tryumfem i wyższością człowieka, zawsze pewnego siebie.

— A!... nareszcie!... więc przyjmujesz pan?

— Nie — brzmiała lakoniczna i stanowcza odpowiedź pana Bielaka. Pukalski zerwał się na równe nogi.

— Nie?...

— A nie! jeśli pan Dryziewicz zechce, niech skarży. Do sądu stanę, ale do pojedynku ani myślę!

Czekałem na to, że Admirał, jak ryś, rzuci mu się do oczu.

Przez chwilę miał nawet taką minę, jak gdyby się zabierał do skoku, ale tylko zaczerpnął powietrza w pełne płuca, odetchnął głęboko, zęby zaciął, tużurek znów zapiął na wszystkie guziki i jakimś grobowym głosem wyrzekł:

— Zatem piszmy protokuł...

Przeciągnął wąsy po palcu, oczy zmrużył i mierząc Bielaka od stóp do głowy, odezwał się tonem tak lekceważącym, że kogo innego byłby nim rozgniótł na miazgę:

— Wolisz pan tedy, panie szlachcicu, na infamię się narazić?.. Myślałem, że i pomiędzy ceglarzami są ludzie honoru, ale widocznie się pomyliłem.

— Jak się panu podoba! — mruknął pod nosem Bielak i wzruszył ramionami na znak, że go to mało obchodzi.

— Napadać, rozbijać po nocy, to mają odwagę — ciągnął dalej Pukalski — ale stanąć oko w oko na placu, to tchórzą! Masz słuszność, panie Bielak, że z takimi ludźmi tylko sądy mogą się rozprawiać.

Ostatni ten pocisk był dobrze wymierzony, bo nawet gruboskórny pan Ignac poczuł go i zmieszał się; zrobił nawet ruch, który mi się bardzo podejrzanym wydał, wobec poprzedniego oświadczenia, że„honor swój w garści nosi.“

Ale w tej samej chwili z bocznych drzwi odezwał się głos:

— Przepraszam panów, ja się będę bił!...

Do pokoju wszedł szybko młody człowiek wysoki, chudy, o twarzy ściągłej, zaledwie zarostem pokrytej, przystojny, a blady, jak ściana; usta mu drżały, ciemne, głębokie oczy miały wyraz smutnej jakiejś determinacyi, długie włosy spadały nieco na czoło szerokie i inteligentne.

Sprawiał wrażenie sympatyczne już tem samem, że stanowił zupełny kontrast ze swoim bratem.

Ubrany był w długi, czarny tużurek, który widocznie dopiero przed chwilą łożył na siebie, aby się stosowniej wydać do uroczystej misyi, którą wobec nas przyjął, ale w pośpiechu zapomniał uporządkować reszty ubrania; był bez krawatu, w popielatej kamizelce i spodniach, założonych w cholewy okurzonych butów.

— Będę się bił za brata! — powtórzył głosem spokojnym, ale z oddechem zapartym w piersiach od wielkiego przejęcia się sytuacyą.

Mówił to z taką miną, jak gdyby gotów był iść odrazu nietylko na plac spotkania, ale nawet na rusztowanie.

Spojrzeliśmy obaj z Admirałem na tego niespodziewanego bohatera, który nam zaimponował prostotą i stanowczością swojego oświadczenia.

Pukalski aż usta otworzył z podziwu.

— Pan jesteś zapewne panem Pawłem Bielakiem? — spytał.

— Tak.

— I gotów pan jesteś strzelać się z panem redaktorem

Dryziewiczem?

— Jestem gotów.

— Na dziesięć kroków. z wymianą trzech kul?

— Jak panowie postanowią.

— Czy i pan byłeś wczoraj z bratem podczas tej... awantury?

— Byłem.

— W takim razie sprawa postanowiona. Zechce pan nam oznaczyć swoich świadków, z którymi ułożymy warunki i termin spotkania.

— To nie zaraz mam się bić? — spytał z jakimś odcieniem naiwności i rozczarowania młody człowiek.

— Możemy to zrobić nawet jeszcze dziś po południu, jeżeli zdążymy ukończyć wszystkie przygotowania — odpowiedział mu Pukalski.

— Kiedy panowie zechcą; mnie wszystko jedno.

Powolnym obojętnym ruchem zacierał swe ogorzałe ręce i spoglądał w ziemię wzrokiem melancholijnie zadumanym.

Brat patrzył na niego z boku, ogryzając paznogcie i jakby nie dowierzał własnym uszom, podszedł ku niemu i szepnął:

— Cóż ty, Pawełek, zgłupiałeś?...

Odwrócił się od niego i nie dał żadnej odpowiedzi.

— Będziesz się bił?

Skinął tylko głową w milczeniu i powieki mu zadrgały; zagryzł usta i czekał, jak na ścięcie.

Była chwila dziwnej jakiejś powagi i dramatycznego nastroju; cisza nastała w pokoju, nawet kanarki przestały ćwierkać w zielonych klatkach u okien.

— Kogóż pan zatem wybiera na swoich sekundantów? — odezwał się wreszcie Admirał, który sam jeden równowagi nie tracił.

— Czy ja wiem! — szepnął niezaradnie młodszy Bielak — jednego tobym miał... A to musi być koniecznie dwóch?

— Zwyczaj tego wymaga.

— No to niech będzie jeden ksiądz wikary od św. Marcina — zaczął, namyślając się — a drugiego...drugiego chyba to on sam wynajdzie.

Pukalski nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na taką osobliwą propozycyę, która zdradzała zupełną nieświadomość pojedynkowych warunków ze strony wyzwanego.

— Ksiądz wikary nie może być pańskim sekundantem! — rzekłem w zastępstwie Admirała.

Bielak podniósł głowę i spojrzał na mnie z wielkiem zdziwieniem.

— Nie może być?.. a dlaczego?.. On to dla mnie chyba zrobi, bo przecież nas zna od maleńkości. To bardzo godny człowiek!... Panowie nie znają — księdza Palczyńskiego?.. On jest w naszej parafii; tu niedaleko mieszka, możemy pójść do niego zaraz, ja poproszę, to pewnie nie odmówi.

— Tu nie o to chodzi — zacząłem mu tłómaczyć — ale księdzu nie wolno mieszać się do pojedynków.

— Nie wolno?...

Zdziwienie jego i zainteresowanie rosło z każdą chwilą.

— Duchowny w sprawach honorowych nie może brać udziału, bo...

— Bo co?

Zawahałem się trochę.

— Bo... bo to do niego nie należy.

— Dlaczego nie ma należeć? mnie się zdaje, proszę panów, że taka honorowa osoba właśnie, jak ksiądz, to jest przecież najgodniejsza do tego. Ja nie znam nikogo godniejszego do takiej rzeczy!

— Ale kiedy kościół pojedynków nie uznaje — przerwał mu Admirał bez namysłu.

Bielakowi oczy szeroko się rozwarły.

— Nie uznaje? — powtórzył — to może grzech pojedynkować się?.. może do tego jeszcze śmiertelny grzech?...

Pytanie to, z całą prostotą i głęboką czcią dla religii postawione, wytworzyło nagle tak kłopotliwą kolizyę, żeśmy nie wiedzieli obaj, jak z niej na razie wybrnąć.

Takiego zwrotu nie mogliśmy przewidywać.

— Widzisz pan-próbował mu przekładać Pukalski — są wypadki, w których niepodobna pogodzić pewnych sprzeczności z sobą. Przykazania Boskie mówią wprawdzie: „Nie zabijaj,“ ale obraza honoru każe się strzelać i narażać swoje życie na zmazanie obelgi. Ludzie musieli sobie ustanowić nowe prawo, takie samo, jak na wojnie, albo przy wyrokach śmierci...

Młodszy Bielak zdawał się nie słuchać już więcej;blada jego twarz pokryła się rumieńcem, patrzył gdzieś przed siebie i drżącemi ustami szeptał:

— Nie zabijaj!... nie zabijaj bliźniego twego!...

W jego prostym umyśle nie mogły się pogodzić takie sprzeczne pojęcia, aby człowiek mógł ustanowić prawo,

które się różniło, z przykazaniem Bożem, i aby to mogło być dobre, aby w ten sposób można było naprawić honor i brać sobie zadosyćuczynienie.

Pan Bóg zabrania zabijać, a jemu każą strzelać do bliźniego swego po rozmyśle, z całą samowiedzą i rozwagą, z zimną krwią mierzyć w cudzą pierś Nastawioną, jak tarcza, i trafić — koniecznie trafić, bo inaczej sam może być zabitym! I to ludzie nazywają sprawą honorową?...to ma być ludziom dozwolone?...to ma być dowodem odwagi i zasłaniać od zarzutu tchórzostwa?

Znać było po jego oczach i po całej twarzy, jak, ten mózg ciągle pracuje i sili się logicznie doprowadzić do jakiej takiej równowagi te kontrasty, które mu się nagle nastręczyły.

On nie chciał uchodzić za tchórza, chciał ratować honor rodziny i zdobył się na odwagę, aby zastąpić starszego brata, który miał żonę, zalewającą się tam z rozpaczy łzami w obawie, że jej Ignacowi może grozić jakie niebezpieczeństwo życia; chciał dowieść, że jest dobrym szlachcicem wobec tych dwóch panów z miasta w czarnych tużurkach, świecących cylindrach i nowych rękawiczkach, a tu każą wbrew przykazaniom Boskim i naukom kościoła poddawać się jakiemuś osobliwemu prawu, które mówi: „Dla honoru zabij, albo daj się zabić przez swego przeciwnika!...“

Jeżeli stanie, Bóg go potępi — jeżeli nie stanie, potępią ludzie.

Biedził się ciężko, nie mogąc znaleźć rozwiązania takiego dylemmatu, i spotniałe czoło pocierał ręką,

zmęczony, zakłopotany, bezradny.

I kiedyśmy tak wszyscy czterej stali wobec kwestyi, spornej dla wielu tęższych i subtelniejszych umysłów od inteligencyi obu braci Bielaków, otworzyły się nagle drzwi i wypadły do nas trzy kobiety, w których nietrudno było rozpoznać matki i żony pana Ignacego, oraz tej trzeciej młodej i junackiej amazonki, która przed niedawnem zachęcała tak gorąco szwagra do przyjęcia wyzwania.

Wtargnęły do pokoju wzburzone, oczy i policzki im pałały, piersi podnosiły się szybkim oddechem, ręce gestykulowały, a oczy pełne były wyrzutów, zwróconych ku nam:

— A, proszę panów, to niełądnie, to się nie godzi!... to przecież obraza Pana Boga!... Panowie przychodzą do uczciwych ludzi, nie do żadnych pogan, i namawiają mi synów do złego, a panowie wiedzą, że to grzech i chcą, żeby mój syn duszę splamił na wieki wieków?... Panowie nie chcą księdza dopuścić do tego, a podmawiają młodego chłopca na zabijanie?.. To przecież kryminał! — wołała stara ze łzami w oczach, a synowa pomagała jej jednocześnie:

— Do czego to podobne?.. panowie nie mają Boga w sercu przychodzić z taką propozycyą i zabierać mi męża!..: Moje dziecko nie może mi zostać sierotą!... Co jabym potem nieszczęśliwa zrobiła, żeby mi Ignasia zastrzelili?.. Albo żeby, broń Boże, on jeszcze kogo uśmiercił?!... Mój mąż nie jest żaden kryminalista. Co panowie sobie myślą?!...

Zalewała się łzami i ocierała je dłonią, rzucając

spojrzenia pełne urazy i żalu.

Najmłodsza ręce skrzyżowała na piersiach, oparła się o futrynę drzwi i milczała, ale miała brwi groźnie ściągnięte i mierzyła nas surowym wzrokiem, potem podeszła do Pawełka, wzięła go za szyję i pociągnąwszy w kąt, zaczęła mu coś szeptać do ucha i przekładać, przytupując przytem nóżką, jak młody konik.

W pokoju zrobił się rejwach i hałas. Kobiety płakały, kanarki rozćwierkały się tak, że aż w uszach dzwoniło, za oknem psy zaczęły szczekać, a z podwórka zaglądał ten sam chłopak, co nam furtkę otwierał, i niańka z dzieckiem na ręku.

Cały dom zdawał się być wzburzony.

Ignac mitygował matkę i żonę, każąc się im wynosić! Admirał próbował tłómaczyć siebie i nieco zniecierpliwiony tą sceną, która nabierała jakiegoś tragikomicznego nastroju i wytworzyła znów nową sytuacyę bez wyjścia.

— A tośmy wpadli! — wyrwało mu się mimo woli z ust, gdy dotknąłem jego ramienia i szepnąłem:

— Chodźmy już!... tu niema dłużej co robić.

— Nie, nic takiego nie zdarzyło mi się nigdy w życiu!... — mówił zakłopotany, siląc się daremnie przyjść do głosu wobec kobiet, powtarzających w kółko jedno i to samo, zastępujących nam drogę z wyrzutami, żeśmy chcieli zabić Ignaca i Pawełka, którzy są dobrymi chrześcianami i Bogu ducha winni.

— Bo proszę pana — mówiła do mnie stara Bielakowa; ujmując mnie z pewnym odcieniem szacunku za rękaw —

że się Ignac uniósł i zdyfamował tego pana z Kuryerka, to nic dziwnego. On jest trochę prędki, to prawda, i żeby był komu słówko o tem pisnął, co chce zrobić, tobyśmy byli do tego nigdy nie dopuścili, ale on nie jest żaden pijak, jak to inny bywa. Moi synowie, to nie są żadne chamy, proszę, pana; my im dawali edukacyę, do szkół chodzili, my się z ostatniego ściągali, żeby oni tylko na ludzi wyszli!... A panowie mi chcą takie dziecko zabijać?... czy to po chrześciańsku, czy to po ludzku?...

Rozpłakała się z wielkiego wzruszenia na samą myśl niebezpieczeństwa, jakie groziło jej synowi.

— Droga pani — próbowałem jej wytłómaczyć pani, jako matka, rozumuje po kobiecemu. Syn pani wyrządził dużą krzywdę panu Dryziewiczowi, zhańbił go publicznie, więc powinien za to być odpowiedzialnym. Kobiety na takich rzeczach się nie rozumieją. My nie przychodzimy podmawiać pani syna do żadnego przestępstwa, tylko żądamy od niego honorowej satysfakcyi, bo go właśnie za honorowego człowieka uważamy. To już jest taki zwyczaj!... Kiedy się dwóch parobków pobije, to idą do cyrkułu, ale kiedy się zapomni człowiek lepszego stanu, to musi przed innym sądem, przed sądem opinii publicznej zdawać z tego sprawę.

Słuchała mnie z uwagą i musiałem moim spokojem i wyrozumiałością wzbudzić w niej więcej zaufania, bo rzekła:

— Ja się tam, proszę pana, na takich rzeczach nie znam, ale wiem, że co jest obrazą Boską, tego uczciwy i honorowy człowiek robić nie powinien. Pan ma racyę, że

Ignac niełądnie sobie postąpił, — kiedy poszedł bić, ale po co to zaraz drukować takie rzeczy?...

— Alboż to nie była prawda? — zagadnąłem ją.

Spuściła oczy i ręce załamała z wyrazem głębokiego frasunku; głowa się jej trząść zaczęła i twarz skurczyła bolesnym grymasem.

— Żeby pan wiedział... żeby pan wiedział... — szeptała przerywanym głosem z jakąś cichą, tłumioną boleścią, która ją nurtowała — ach, mój Boże, mój Boże!... no, pewnie, że prawda, ale dlaczego?... tego to nikt nie może wiedzieć, tylko my. Widzi pan, — mówiła dalej, zaciągając mnie pod samą ścianą — Bogiem a prawdą, to mój stary umyślnie nam, przez złość, tego całego wstydu narobił... On nawet nie jest taki zły sam z siebie, tylko kiedy pałkę zaleje, to wtedy, powiadam panu, rady sobie z nim dać nie można.Dawniej tego nie bywało, ale teraz z roku na rok, to coraz gorzej, zły duch go opętał i kusi coraz więcej.A to wszystko od tego czasu, kiedy nam dzieci podorastały i Ignac mój, ten najstarszy, wziął cegielnię na siebie, a Pawełek mu zaczął pomagać; to jak to wie pan, w interesach, młodzi ze starymi rzadko się kiedy pogodzić mogą, więc i oni się trochę hendryczyli, ale nigdy znów tak, aby aż do czego przyszło, tylko ot, zawsze, oni to, a on tamto, on tak, oni siak. No i sprawiedliwie mówiąc, to młodzi mieli słuszność, ale on im nigdy racyi przyznać nie chciał, bo jak się zatnie, to ani go weź!... Widzi pan, Ignac to ma ten upór z ojca; nie ustąpi, choćby go na drobne kawałeczki porąbano. Więc mąż powiada do nich: „Kiedyście tacy mądrzy, to sobie gospodarujcie bezemnie!“

— i przestał zupełnie chodzić na cegielnię, ale za to, mój panie, wyciągnąć go nie można było to z bawaryi, to z handelku, to potem już po prostych szynkach się włóczył. Tylko niech pan tego nikomu nie powtarza, bo ja panu mówię wszystko, jak na świętej spowiedzi!

Otarła oczy i nos, ręce znów pod fartuch założyła i szeptała dalej z widoczną ulgą, jaką jej te zwierzenia sprawiały:

— Tak się, krótko mówiąc, nieborak rozpił, że go trzeba było do dom przynosić. Ach, panie!... cośmy się wszyscy z tego wstydu zmartwienia najedli, to jeden Bóg widział tylko. Przyszło do tego, żeśmy mu już pieniędzy do rąk nie dawali, bo zaraz wszystko na — wódkę poszło. Cóż było robić, mój drogi panie?... Niech pan sam powie!... Wtedy zaczął pomstować i wymyślać i mnie, i synom, i wszystkim w domu. Piekło mieliśmy, mój panie, oj piekło!... Ale co tam!... przynajmniej w oczy ludziom można było popatrzeć bez wstydu, bo co w familii, to w familii. Kto tam potrzebował co o tem wiedzieć?... Aż, proszę pana, coś mu do głowy strzeliło i powiada jednego razu: „To wy ze mną tak?... to mi grosza dać nie chcecie!... to wy myślicie, że ja sobie nieporadzę?... Będę ja was o wszystko prosił?... A niedoczekanie wasze!... Zabraliście sobie moją pracę, moją krwawicę, dobrze!... — poszedł, siadł przy drodze i...

Łzy jej głos zatamowały, musiała przestać.

— No, widział pan co podobnego?... Żeby na takie pohańbienie wystawić siebie i całą familię!... przecież nas tu znają za całemi rogatkami; ja się tu urodziłam, i tu zamąż wyszłam, i tuśmy naszą cegielnię założyli, tu wszystkie

nasze dzieci na świat przyszły!...

Płakała cicho, rzewnie, aż się jej broda trzęsła i głową kiwała nad sobą i nad swoim losem; nie ocierała już łez, tylko pozwalała im spływać po zapadłej i pomarszczonej twarzy.

Roztajało mi serce tym widokiem niedoli, uścisnąłem ją ze współczuciem za ramię i rzekłem:

— Tak, to nieszczęście!... żal mi panią bardzo, ale któż mógł o tem wiedzieć?.. przypadek chciał, że się ten fakt dostał do druku i z tego porobiły się potem takie awantury.

— A widzi pan!... potrzeba to było zaraz drukować?.. Kiedy Ignac to przeczytał, to myślałam, że go na miejscu krew zaleje. A mój biedny Pawełek tłukł głową o mur i wolał tylko: „Co nam ojciec naroblł!... co nam ojciec narobił!... teraz żaden porządny człowiek ręki nam nie poda!“ Jemu to najbardziej do serca poszło, bo na św. Michał chce się żenić z córką jednego tu rzeźnika, co mieszka naprzeciw nas.

— No, a cóż mąż na to? — spytałem.

— Ba, cóż?... pan myśli, że się zawstydził?...porwał czapkę i poleciał na cztery wiatry. Trzeci dzień już go niema w domu, nawet nie wiemy, gdzie go szukać!...

Byłem tak zajęty słuchaniem tego rodzinnego dramatu, że nie uważałem nawet, co się podczas tego działo w pokoju; ocknął mnie dopiero głos Admirała, dziwnie zmieniony, nabrzmiały patosem i emfazą:

— Kochana pani!... pani mnie nie zna, ale niech powie mój kolega... ja jestem kat!... marmur, żelazo kiedy potrzeba. We mnie płynie rycerska krew od sześciu

wieków!... W moim rodzie kładli się ludzie w hełmie i puklerzu do łóżka! To byli Pukalscy z Pukał, wszystko chłopy, jak dęby. Powiadano o nich, że takiego nie dosyć zabić, trzeba jeszcze przewrócić, bo sam nie padnie. Żaden Pukalski nie brał i nie dawał pardonu!... Ale to byli ludzie sprawiedliwi i ja jestem sprawiedliwy!... Jestem człowiek rycerskiego animuszu, jak Bayard, jak Cyd, jak Fryderyk z ugryzioną gębą; pani słyszała co o nim?... trzeba pani wiedzieć, że Pukalscy z baronów pochodzą. Przyszedłem tu w imię honoru wyzwać męża pani na sądy Boże. Pojedynek, to rzecz święta, niech mi pani wierzy bez względu na to, że ksiądz wikary innego będzie zdania!... Kto obraził, musi głowy nadstawić, to trudno. Jako sekundant mam obowiązek dbać o to, aby wyzwany żywy, czy umarły stanął na placu. Mąż pani obraził, powinien dać satysfakcyę; tego wymaga kodeks honorowy.

— Ale, proszę pana barona — chciała mu przerwać pani Ignacowa z miną skruszoną i spokorniałą pod wpływem tej bombastycznej wymowy, która ją oszołomiła — no, ja wiem, ja to rozumiem, że Ignac...

— Pozwoli pani, jeszcze słówko!... państwo jesteście ludźmi z innej sfery, sytuacya, widzi pani, jest skomplikowana — wykładał jej dalej, trzymając ją za rękę, a drugą kładąc na ramieniu starszego Bielaka, który przy nim przykucnął na kanapie pod lustrem z miną nabożnie zasłuchaną — pan Ignacy zapomniał się i postąpił nie po szlachecku. Ja teraz mówię do państwa nie w urzędowym moim charakterze, tylko jak człowiek prywatny. Bielak!... postąpiłeś sobie nie po szlachecku!

Nachylił mu się do ucha i niby dyskretnie, ale z jakąś dobroduszną poufałością dodał:

— To było po chamsku!... daj pokój, panie Ignacy, nie broń się!... Czujesz to sam, że źle zrobiłeś.

Ignacy głową pokręcił i z jakąś potulnością i zawstydzeniem, które nie licowało wcale z jego butną i zamaszystą poprzednio miną, przytwierdził:

— No, niby... co prawda, tom trochę...

— Bielak, daj pokój!... — przerwał mu Pukalski, traktując go z coraz większą poufałością i nadając sobie coraz więcej przewagi nad swojem otoczeniem. — Masz, panie Ignacy, swego brata, który tu stoi i nic nie mówi, ale z którego twarzy widzę, że podziela moje zdanie. Szlachetny młodzieniec! Powiem panu, panie Pawełku, że mi się pan bardzo podobałeś!... Zuch chłop!... takich lubię!... „Przepraszam panów, ja się będę bił!“ O, widzicie, to się nazywa po rycersku, Szanuję pana, panie Pawle i podaję panu rękę, ale zawsze, jako człowiek prywatny, bo jako sekundant nie powinienem z panami nawet dwóch słów więcej zamienić. Jednak po tem, coście mi opowiedzieli, to widzę, że ten wasz stary, to jakaś okrutna kanalia!... No, daj pokój, mój panie Ignacy, daj pokój, kanalia jest!... Niech was to nie obraża, moi drodzy, ale mówię, że jest kanalia, bo w ten sposób własnych dzieci się nie kompromituje.

Słuchałem tego wszystkiego zdumiony, podziwiając Admirała z jegowy mową, jego grą fizyognomii, przybierającej naprzemian to wyraz surowej godności, to dobrodusznej poufałości, to napuszonej pewności siebie, z jaką zalewał ich potokami frazesów, zapominając coraz

bardziej o swojej roli sekundanta.

Wrażliwa jego i w gruncie miękka natura, pomimo pozorów niewzruszonego hartu i srogości, wypadła z równowagi pod wpływem wysłuchanej tajemnicy rodzinnej, którą przed nim odsłonili Bielakowie, podczas tego, gdy mi jednocześnie stara robiła swoje zwierzenia.

Przejednały go łzy pani Ignacowej i ładna twarzyczka jej młodszej siostry, która z zachmurzonej Junony stała się teraz uśmiechniętym Chochlikiem i zauważywszy pomyślny zwrot sytuacyi, przy każdym wymowniejszym argumencie Admirała klepała rączką po plecach to — jednego, to drugiego szwagra, mówiąc:

— A widzisz Ignac!... a widzisz Pawełek!... a co?...

Wreszcie, oparłszy ręce na kolanach i nachyliwszy się do Pukalskiego z uśmiechem i minką filuterną, spytała:

— Ale panie, prawda panie, że już nie będą strzelać do siebie? prawda?... Teraz, kiedy pan już wie wszystko, to już ich pan nie będzie więcej podjudzał?... Niech pan to jakoś po dobremu załatwi, niech pan to dla nas zrobi, dla Nastusi i dla mnie!... no?

Pukalskiemu te słowa przypomniały, że się dał zbić z tropu i że jednak dotąd żadnego zakończenia sprawy nie znalazł.

Nie będzie pojedynku, no dobrze, ale co będzie?.. coś przecież być musi. Dryziewicz tam z niecierpliwością wyczekiwał rezultatu wyzwania i należnej mu satysfakcyi i ani się domyślał, jaki obrót wzięła cała ta sprawa.

Admirał wyszczerzył do niej swoje szerokie, białe zęby, oczy mu się śmiały i twarz przybrała dobroduszny, jowialny

wyraz.

— Niema innej rady, tylko teraz pani za szwagra musi nam stanąć na placu! — mówił żartobliwie — inaczej być nie może!... No?... zgadza się pani, panno Józio?...

— O joj!... pan myśli, żebym się bała?... Ja nie taka!

— No, cóż ty na to!... — zwrócił się do mnie Pukalski — słyszałeś?... Tu paskudne komplikacyje zachodzą. Ten stary Bielak ich urządził!...

— Wiem, wiem — przerwałem mu — z tem wszystkiem trzeba jakoś złe naprawić, Dryziewiczowi należy się jakieś zadosyćuczynienie.

— A to się rozumie!

Przytwierdził żywo, ale czoło zmarszczył, nie znajdując widocznie żadnego wyjścia.

— Ja myślę, że... że trzeba będzie... Jak uważasz?... — mówił, patrząc mi badawczo w oczy — cóż byś ty proponował?...

Milczałem, namyślając się, bo wobec zaszłych okoliczności, nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Wyręczyła mnie jednak stara Bielakowa, zabierając nieśmiało głos:

— Ja myślę, proszę panów, że skoro Ignac nie jest w porządku i kiedy zrobił taki wstyd temu panu z gazety, to... to możeby..

— Cóż matka myśli? — zagadnął ją niespokojnie starszy syn, ożywiwszy się nagle.

— Ja myślę, moje dziecko, żeś powinien pójść i pięknie przeprosić pana, i ty, i Pawełek. Na mój głupi rozum, to tylko tak trzebaby zrobić.

— Przeprosić?!...

Zerwał się i poczerwieniał tak, że mu omal krew z policzków nie trysnęła.

Pawełek tylko zachrząknął, jakby go co w gardle zadławiło, i przestąpił z nogi na nogę.

— Przeprosić?... — powtórzył starszy Bielak i jąkając się zmieszany, mówił — nie... to... to... to ja już wolę... to ja nie...

Matka jednak nie ulękła się tej instynktowej odmowy syna i ciągnęła dalej:

— Bo widzisz, moje dziecko, człowiek jest słaby i zbłądzi nieraz, ale kiedy uzna swoją niesłuszność, to jeszcze gorzej robi, gdy się przy niej upiera. Pokora niebo przebija!... Ja cię od maleńkości uczyłam, ażebyś był pokornym. Skrzywdziłeś tego pana, to musisz pójść i przeprosić go za to, powiedzieć wszystko, jak co było, a panowie, co już wiedzą, to ci pomogą i będzie zgoda. Widzisz, ja myślę, że kiedy człowiek jest sprawiedliwy i postępuje, jak Pan Bóg przykazał, to wtedy jest i honorowy. Ignac, ja, matka, mówię tobie: ty idź i przeproś!... pójdziesz Ignac, pójdziesz?... Widzisz przecież, że tu wszystkiemu tylko ojciec jeden winien! — szepnęła ciszej z zawstydzeniem, miękim załzawionym głosem. — Co tu pomoże zapierać się, kiedy siedział przy drodze i dziada udawał...

Admirał wąsy motał i usta wydymał; nie wydawało mu się to dostateczną satysfakcyą.

— Tak... — burknął pod nosem — przeprosić?...przeprosić...to jeszcze mało.

— Mało? — powtórzyło jednocześnie kilka głosów na inne tony.

— A mało!... bo cóż to znaczy wobec świata, wobec opinii? zniewaga była publiczna, to i zadosyćuczynienie powinno być publiczne. Nie, nie widzę z wielkim żalem innej rady, tylko musimy wrócić do pojedynku!...

Nastała chwilowa cisza; twarze się znów przeciągnęły i spochmurniały, wszyscy stali zadumani i wystraszeni. Jedna Bielakowa nie dawała za wygranę.

— A proszę pana — zaczęła znów po namyśle — kiedy trzeba coś dla świata zrobić, to niechby może syn dał... dziesięć, choćby piętnaście fur cegły na kościół, co się teraz buduje. Zawsze to ofiara dla Pana Boga i pożytek dla ludzi. Przecież, żeby go nawet w sądzie skazali, to więcej nie każą zapłacić, a mnie się widzi, że tu nie o pieniądze chodzi, tylko o dobrą wolę. Cóż ty Ignac na to?

Spojrzałem na starą z szacunkiem i podziwem dla jej pomysłowości w rozwiązywaniu „spraw honorowych“ na gruncie jej ograniczonych, ale praktycznych pojęć.

— Tak, tak — doradzała coraz gorliwiej i z coraz większem przejęciem, widząc, że projekt jej nie wywołał opozycyi — będzie i wilk syty, i koza. Przeprosisz Ignac i dasz piętnaście fur cegły na kościół. Niech będzie i dla ludzi, i dla Pana Boga.

Synowie pospuszczali głowy i przyglądali się z zakłopotaniem swoim butom.

— A no... chyba... dziesięć fur byłoby dosyć!szepnął tylko Ignac, próbując wytargować coś u matki, która zamknęła mu usta słowami:

— Wstydź się!... będziesz Panu Bogu trochę gliny żałował?...

* *
*

Około południa powracaliśmy z Admirałem od Bielaków w dziwnem usposobieniu; kareta podskakiwała po nierównym bruku, konie parskały, nadychawszy się świeżego powietrza za rogatkami, słońce przypiekało, duszno nam było obu.

Każdy z nas, wychyliwszy się przez okno, ćmił papierosa i rozmyślał nad oryginalnem i niezwykłem rozwiązaniem honorowej sprawy.

Czuliśmy obaj, że według utartych pojęć światowych, nie udało nam się uczynić zadość obowiązkom sekundantów; mieliśmy wprawdzie satysfakcyę za uczynioną zniewagę, jedyną, jaką w danych warunkach można było uzyskać, ale mieliśmy poważną wątpliwość, czy z niej Dryziewicz będzie zadowolony i czy tak zwana „opinia publiczna“ uznać ją zechce.

Pukalski milczał długo, bijąc się z myślami, w końcu jednak zwrócił się nagle do mnie i rzekł:

— Ha, zrobiliśmy co było można!... prawda?

— Tak sądzę.

— Wiesz, co ci powiem?... Pierwszy raz mi się zdarza załatwiać w ten sposób pojedynek, ale jak Boga kocham, nie wiem, coby było większą satysfakcyą: czy żeby ten Bucefał, co pistoletu nigdy zapewne w rękach nie miał,

stanął Dryziewiczowi na placu i pozwolił strzelać do siebie, czy też, że go się zgodził przeprosić i daje tych piętnaście fur cegły na kościół?...

— Zepsuliby parę ładunków prochu — rzekłem — ale huk wystrzałów zagłuszyłby szemrania opinii.

Admirał usta wydął i wąsami poruszył.

— Opinia!... no, niech się poważy słówko pisnąć, to będzie miała ze mną do czynienia! — zawołał i zrobił tak groźną minę, zmrużając lewe oko, jak gdyby całą opinię brał na cel. — Bielakom wolno się nie strzelać, ale Pukalscy z Pukał nie mają takich przesądów, — Rycerska krew!... baronowie! — wtrąciłem złośliwie.

Admirał spojrzał na mnie rozjaśniony, z jakiemś naiwnem zadowoleniem i zdziwiony spytał:

— A ty zkąd wiesz o tem?

— Słyszałem dziś od ciebie samego.

Roześmiał się szeroko, pokazując; wszystkie swoje zęby i zawołał:

— A co?... to im zaimponowało, uważałeś?... Prości jacyś ludzie, ale muszą być poczciwi z kościami. Ja tam jeszcze do nich kiedy pojadę. Ta Józka, ma ładne ślepki i wygadana szelma!... Ja takie kozy pasyami lubię!...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie .*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Szkice i obrazki

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Anwar2
- Anagram16
- Ankry
- Seboloidus
- Mudbringer
- Piotr433
- Matlin
- Joanna Le
- Zetzecik
- Zdzislaw
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium